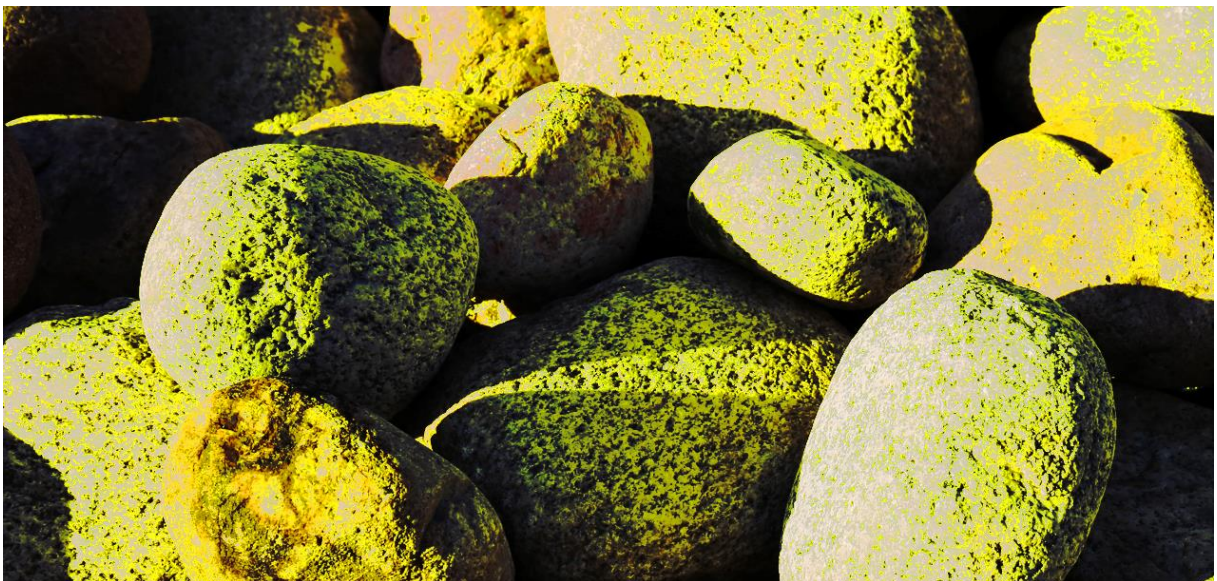


Marcin z Frysztaka

i

Peyotlowy

taniec



03. #05 Słowo wstępne.

Uzależnienia. To próby samemu sobie udowodnienia. A czego. To już zależy od nas. Od każdego. Jeden widzi w nich przyzwyczajenia. Inny upodobania. A mądry wie, że są synonimem zniewolenia. Nie ma tak, że jesteś wolny i z własnej woli wybierasz łańcuch. Podrap się w brzuch. Zatańcz na rurze. Skocz do jeziora. I zawiśnij na chmurze. To nic Ci nie da. Nie przekonasz samego siebie. Uzależnienia to przegrywanie. A nie chojraka zgrywanie. Uzależnienia to się poddawanie. A nie mocy pokazywanie. Uzależnienia niczego nie dają. A wiele zabierają. Trzeba jednak popatrzeć im w oczy. A rację o samym sobie poznają. Pytanie czy poznasz i Ty. Pytanie, czy nie wystraszysz się mgły. I lekkich niedogodności. Kiedy odstawisz mięso z dodatkiem ości. Które w gardle stają. Które przeszkadzają. W swobodnym jedzeniu. I w dobrym się spełnieniu. Pracuj nad sobą. Pracuj, aby poznać życie. A nie tylko efekt uboczny. Takie użytkowe przeżycie. Jazda na używce. Na kolejnym dopalaczu. Odlatywanie. I z wyrzutami sumienia wracanie. Kto tego nie zna. Kto nie spróbował. Ten szczęściarz. Albo się schował. Ale uzależnienia czekają. I złapią każdego kto przyśnie. Zapadnie w sen. I jego myśli staną się mgliste. Dlatego trzeba być czujnym. Żeby nie przesadzić. Dlatego trzeba być dobrym. I ludziom nie wadzić. Sadzić. Dary mądrości. Kadzić. Dymem ostrości. Ile warte jest to co się rozpoczyna. Wie każda kochająca się rodzina. Niestety, takich coraz mniej. Kłótnie. Zabawy. Odloty i wiej. I wiejesz. Nogi za pas. Uciekasz. W używki, albo w las. Lecisz, pędzisz, samowola. Nie rozpoznają w Tobie trolla. Myślisz, że jesteś sobą kłócąc się. Ze sobą. Życie, nie jest złe. Ze swobodą, do siebie przytul się. A nie, z używką witasz się. Trzeba na siebie uważać. Trzeba się pilnować. Zagrożeń nie stwarzać. I nie przedawkować. Byle czego. Bylejakości. Byle gdzie. W byle przeszłości. By nie stać nią się. Byle przeszłość wchłania bowiem Cie. I stajesz się jej częścią. I tracisz własną ciężkość. Stajesz się jak puch. Bez własnej woli. Kolejny buch. Kolejny cios. Kolejna kreska. Wątpliwy nos. To nie jest nos przewodnika. To nos przegranego chomika. Który nie wie dokąd biegnie. Byle było miło. Który nie wie gdzie i zwiędnie. Dopóki się będzie tliło. A później nawet wspomnienie nie zostanie. Nic dobrego. Odpowiedź na nie. A później sam na sam z przegraną. Patrzysz. Otwiera Ci oczy rano. Nie. Naucz się tego słowa. Skończyłem z tym. Teraz czysta moja głowa. Powtarzaj i na słowa uważaj. Żyj a nie z myślami się bij. W czystości duszy. Co na sznurku się suszy. W czystości ciała. Co nie rozmnoży się gdy esencja jest mała. Wątpa i przegrana. Gdy dąży do unicestwienia. Nie chce zostać dana. Pomnażana. Z radości i chwaleń Pana. Żyj. Kochaj. Myj. Duszę. A nie wyj. Na katuszę. Na zaciemnienie. Na unicestwienie. Jest chwila. Jest czas. Mnóż okazję. One są dla was. Dla Ciebie i brata. Dla Ciebie i siostry. Dla każdego. Pomnożonego. To nie są chłosty. Do dobra nowina. Co naprawiać tu zaczyna. Klucz dziesiątka i dobrego klina. I na warsztat. Z jednym, drugim. I kręcimy. Kolejne śruby. I stworzymy. Pięknego ducha. Wystarczy przykręcić. To co dziś wybucha. Wyczyścić, przedmuchać, odłożyć na miejsce. Naprawiony będzie chciał życia więcej. Po tym sprawdzić, czy działa. Po tym widać, że nie daje ciała. Wolny i swobodny. Uśmiechnięty i łagodny. Taki jest człowiek pogodny. W Bogu poznany. Z Bogiem ukazany. Ale droga niekiedy do tego długa. Albo inaczej. Dużo myślenia. Mało robienia. Wystarczy pstryknięcie palcem i już jesteś wolny. Wystarczy nie być padalcem. I już jesteś swobodny. Świadomość i zrozumienie. Oto co rozładuje ciśnienie. Świadomość i zrozumienie. Więcej nie trzeba. Więcej to oczu mydlenie. A nie jakieś pozytywne nastawienie.

Mark S. Wilke

BĘC

Peyotl tańczy
Ale mu na Tobie nie zależy

Peyotl tańczy
Ale nikt mądry mu nie wierzy

Bo on oszukuje
Bo on naciąga

Drogi nie wskazuje
Tylko za sznurki pociąga

Peyotlowy taniec

Peyotl. Dla większości nic. Dla niektórych ucieczka. Za którą trzeba bić. Z życia kpić. Siebie zabić. Patrzyć i gnić. To wszystko funduje nam roślina. Od wieków znana. I zaczyna. Taniec. Ale to nie my tańczymy. Tańczy peyotl. My klęczymy. On tańczy dookoła nas. A my patrzymy jak się pali las. Jak palimy się my. Ile znaczymy i czy mamy wszy. Co nas je. Nasze własne myśli. Jak we śnie. Ten najgorszy nam się ziści. Peyotl. Nie oszczędza nikogo. Daje ucieczkę. Pytanie tylko od kogo. Czy nie sami przed sobą uciekamy. Czy ten sposób działania nie jest ciągle powtarzany. Potykamy się o samych siebie. Wie o tym Ktoś. Jak może nie wiedzieć. Testuje powiem kolejne narkotyczne wizje. Testuje siebie i wpływ na telewizję. Sposób działania na żonę. Gdy w objęciach peyotlu tonę. Sposób działania na psa, którego ta rodzina nie ma. Peyotl ciągnie w dół. Który sam sobie kopiesz. Peyotl to jest stół. Stół-toperz. Taki co rodzi kolejne zwierzęta. Dzikie i gniewne. Aż kurek zakręca. I zakwasza. Całego Ciebie. I się stajesz. Bardziej jak w niebie. Tylko odwrotnie. To jak wiecznie zbierać najgorsze stopnie. Osiągasz doskonałość. Części składają się w całość. I masz co chciałeś. Masz czego oczekiwałeś. Peyotlowy taniec. Nie żaden różaniec. To odwrotność. Druga strona skali. To wybitność. A wszyscy ludzie mali. Wybitność która niszczy. A nie podnosi ze zgliszczy. Latasz ciągle wysoko. Ale jak już upadasz, to głęboko. I nie chce się żyć. Po co. Znow kpić. I nie chce się trwać. Dla kogo. Wciąż ma. Żonę. Ktoś. Marysię. Która mimo, że ma dość. Pomaga. I rękę wyciąga. Pomimo, że siedzi w przeciągach. Pomimo, że jej się dostaje. Ktoś od średniej odstaje. Pomimo tego wszystkiego. Marysia jest. I pomaga. Tylko co z tego. Skoro Ktoś nie chce sam sobie pomóc. Nie chce zrozumieć. I nie chce się przemóc. Nie chce przyznać, że już od miesięcy tonie. Peyotl przejmuje kontrolę. Wiedzą to jego dłonie. Wie to jego umysł. Stanami zmęczony. Wie to jego dusza. Temat udręczony. Całe ciało płacze. Peyotl jest bogaczem. Całe ciało złe. O kolejny wieczór prosi się. O kolejny kawałek. Niesmaczny. Pokraczny. Ale staje się. Coraz bardziej znaczący. Nie rozumie sam siebie. Ktoś, który nie wie. Że trzeba zapomnieć. I zło daleko mieć. Inaczej ono wciąga. Inaczej kotarę zaciąga. I nikt nie widzi Twojej gry. Tylko Ty. Dla innych nie istniejesz. Bo nie chcesz. Bo się chwiejesz. Dla innych jesteś wsza. Co łatwo zgnieść się da. Wsza nie rozmawia. Choć wiele ma do powiedzenia. Wsza nie pyta. Choć zna różne twierdzenia. Wsza ma własny świat. Kolejny. Brudny. Złożony z samych wad. Ale ona tego nie widzi. Nie reaguje, jak cały świat sobie z niej szydzi. Wsza wie lepiej. Po swojemu. Nie odda kawałka innemu. Bo ona. To ja. Bo ja, to postawa znana. Wie o tym peyotl. I trawa zaorana. Ktoś czasami chce się wycofać. Chce zrezygnować i przed tańcem się schować. Nie raz o tym myśli. Przypomina mu się to, gdy Marysia go czyści. Gdy pomaga mu ubrać psa. Których jak wiadomo ta rodzina nie ma. Ale ma peyotlowe dziecko. Wieczny czarny charakter. Cień który trzeba niańczyć. Pełen znaków i krater. Pytanie kiedy wybuchnie. Kiedy będzie eksplozja. Jak duże zniszczenia. I do czego doprowadzi erozja. Wszystko odpada. Wszystko się w jedno składa. I to nie dla braw. Ktoś się z kimś zakłada. Wieczne straty. A Ty mówisz, sraty taty. Wieczne upodlenie. A Ty to nazywasz ziemskim zbawieniem. Słowa za dwóch. Po co Ci gęsi puch. Słowa za trzech. I znowu potrzebny miech. Nie możesz się rozpalić. Nie możesz ruszyć z miejsca. Wszystko zaczyna się walić. Zaczynając od Twojego królestwa. Peyotl by wiedział. Tylko boisz się zapytać. Że to nie ten przedział. I zaczynasz znikać. I zaczynasz zapominać. Jaka

piękna ta dziewczyna. I zaczynasz się starać. By stracić siebie zaraz. Słowa. To rozmowa. Monolog nic nie znaczy. Nawet jeśli nasadzisz niepotrzebnych znaczeń. Rozmowa myśli. Rozmowa ciałem. Gestem. Czasem dużym, czasem małym. I wiesz, że dobrze trafiłeś. I wiesz, że już tu byłeś. Daleko nie zajdziesz, kiedy jesteś na dnie. Daleko nie dopłyniesz, jak się topisz w do naczyń płynie. I ciągle ginie. Peyotlowy taniec. I zaczyna od nowa. Taka duszy odnowa. Marna. Jak kolonia karna. Na nic Ci, te kolejne wszy. Po co. Co to zmieni. Co to da. Jak przekarmisz domowego psa. Nie będzie czekał na złodzieja. Nie będzie bronił, ani chronił. Od samego siebie będzie stronił. Zatraci siebie. Będzie na swoim własnym pogrzebie. Zatraci świat. I nie będzie wiedział ile jest wart. Tak jak z peyotlem. Tak jak ze światem. Pytanie tylko kto z tej trójki jest wariatem. Prawdziwym, a nie przyszywanym. Ckliwym. Może. Trochę nabieranym. Po co to wszystko. I świat to nie jest ognisko. Dlaczego tak daleko. I stajesz się kaleką. Słowa przypominają. O nadziejach. Które uciekają. O historiach. Które się dobrze mają. O dzwonach. Które melodię wybijają. Zawsze tą samą. A inną troszeczkę. Podobny dźwięk. Poczekaj chwileczkę. Marysia. Moja ukochana Marysia. Myśli ktoś i z autobusu wysiadł. I idzie. Dalej. Sam nie wie gdzie. I śpiewa do rytmu piosenkę. Wie, że to pod kolejną mękę. Pod kolejny peyotlowy taniec. Nie pomoże tu przekonywanie, ani różaniec. Chyba. Choć próbować warto. Zobaczymy. Co jest pod kolejną kartą. Co się chowa. Co się kryje. I dlaczego zaśnania się kijem. Marysi próbuje. Marysia nie odpuszcza. Walczy. Siebie i Ciebie zmusza. Ktosia. Przywiewa. Po chwili rozwiewa. Ktoś się miewa. Dobrze, czy ewa. Ktoś traci. Jak wiele to znaczy. Na jak wiele peyotlowi pozwolimy. Czy przyjdzie taki czas, że z krzesła go zwalimy. Nie, powiemy. I przestaniemy. Nie, nie chcemy. I się wycofujemy. A nie potrzebnie. A powinniśmy. Walczyć o siebie. Tacy niewinni. Nie do końca. Ale zwinni. Czasami. Powinni. Być sami. A jesteśmy. Poza barierami. Codzienności. Bo nam się rozmywa. Mądrości. Bo nie przychodzi od piwa. Zdolności. Bo się gdzieś ukrywa. Ufności. Bo peyotl nam ją zakrywa. Żniwa. Wieczne. Niebezpieczne. Historia. Która szuka doktora. A doktora jak na lekarstwo. A coraz droższe w sklepach masło. Smarujesz więc kolejny dzień kanapkę żwirem. I nakładasz chrust. Twój cień nazywa Cię świrem, wyjąłeś mu to z ust. Po co. Kto pomoże. Dlaczego, powtarzasz, Mój Boże. I słowa. Te cholerne słowa. Zapomoga znowu gotowa. Marysia płacze. Marysia skacze. Ktoś nie zna znaczeń. Mówi, że woli inaczej. Kolejny dzień. Weź się chłopie zmień. Kolejna noc. I modlenie się o koc. A Ty dawno przykryty. A ty z tropu samego siebie zbity. Nie wiesz po co i kto w czyjej obronie staje. Nie wiesz dlaczego. Człowiek się z Bogiem rozstaje. Inne priorytety. Tak to jest, niestety. Inne marzenia. Inne przewiny. Zawsze znajdzie się ktoś inny. Ktoś kto przygarnie. Szkoda gadać. Wiesz jak to jest upadać. To dlaczego powtarzasz. Dlaczego zagrożenie stwarzasz. Nie uczysz się na błędach. Obca Ci kolęda. Obce Ci spokojne życie. Wolisz takie w zachwycie. W chwilowym uniesieniu. Dużo wiesz już o błędzeniu. Wie Ktoś. Wie waszmość. Wiedzą wszy. Wiesz i Ty. Wiesz. Gdzieś. Upadła i weź. Starasz się żyć. Każdy powtarza. Starasz się być. Zagrożenie stwarza. I się powtarza. I się powtarza. Parodia życia na receptce lekarza. Żadnego peyotlu. Żadnego spania. Snu na jawie i jawy w bocznej nawie. Nie ma powtarzania. Jest koniec migania. Człowiek to podobieństwo Boga, a nie z szatanem się cackania. Przytulania. Obejmowania. I chwalenie tego drania. Bądź sobą. Wolną osobą. Bądź życiem. Żyj należycie. I posłuchaj. Nie musisz w zachwycie. Normalnie. Historii sterowanej zdalnie. O Ktosiu. I jego przygodach. O tym jak używka, zostawiła go całego w lodach. Pokleił się i przepadł. Jak da się nisko spaść. Ale jest ktoś kto zaczyna. Ciągle na nowo rozpoczyna.

Marysia. Nasza święta dziecina. I ona pomaga. Z dołu wyciąga. Co za odwaga. Marysia, nasza piękna królowa. Marysia. Ona przed nami się nie chowa.

Zima

Ktoś na peyotlu. Płynie i ginie. Znowu wziął. Nie mógł się powstrzymać. W róg dał. Nie dał się zatrzymać. I płynie. W nieznane krainy. I ginie. W dziwacznych stanach. Bynajmniej nie zjednoczonych. Konkretnie bowiem rozrzuconych. Stany świadomości. Człowieku. Litości. Mówi peyotl i tańczy. Swój taniec samozwańczy. I brodzi. Zanim się ochłodzi. Zanim minie i zniknie. Teraz jest jego czas. Czas peyotla. Teraz kwitnie. Peyotl przeniósł ktosia do odległego świata. W którym władzę sprawowały liczby. Nie wiedział jaka jest data. Nie wiedział która godzina. Liczyła się tylko rutyna, w formie braku. I zestaw niezbędnych znaków. W świecie tym liczby parzyste walczyły z nieparzystymi. Pytanie tylko, nie czy stanąć, ale za którymi. Które zwyciężą w tej batalii. Które są silniejsze, nie ważne, że nie ma talii. Nie ważne, że nie ma sędziogo. Pytasz co mi do tego. Ktoś opowiada. Więc słucham. Kolejna zwada. Uderzyły parzyste. Bronią się nieparzyste. Co za strzał zaiste. Liczby. Liczby. Wszędzie liczby. Jak od nich uciec. By wiary nie stłuc. W zwycięstwo. W z Marysią narzeczeństwo. A nie, to już małżeństwo. A liczby atakują. Uciekam przed nimi. Mówi ktoś. Strzelają. I martwe padają. Coraz to nowe. Zadanie gotowe. Kolejne wykonanie. Następne dokonanie. Tylko kto temu przewodzi. Kto z wody nie wychodzi. Kto wydaje rozkazy. A kto jest bez skazy. Wygląda na to, że przywódcy nie widać. Liczby same wiedzą, które są które. I wiedzą co sobie dać. Jaką szczęśliwość. Jaką kęśliwość. Jak uderzyć. I jak uderzenie zniweczyć. Krzyć. Kruszyć inaczej. Liczba liczbę. Znaczenie znaczeń. Tłumaczenie tłumaczeń. I się dzieje. I upada. Ten który miał nadzieję. A Ktoś się z tego świata wydostać nie może. A Ktoś krzyczy i powtarza, Mój Boże. Ratuj. Staję się nieparzysty, staje się rzęsisty. I coraz bardziej mglisty. Marysia podaje mu wody. Pluje. Nie chce pić. Czekają. Aż liczba przestanie żyć. Aż świat odejdzie. I zniknie w momencie. To mija. Jak nowy obraz po pokonanym zakręcie. Pojawia się rzeczywistość. I rozumienie faktów. Pojawia się życie. Pomimo wydatków. Znaczących. Energetycznych. Psychicznych. Wrócił. Ktoś. I stał się logiczny. Marysia zatroskana. Pyta czy już po. Powtarza że ten peyotlowy taniec to samo zło. I nakłania Ktosia. Modlitwą się zaślania. Siebie i Ktosia. Nie ważne, że to kawał drania. Zagubionego. Jakich wiele. Ale nie zostawionego. Ratunek w Kościele. Wie o tym Marysia. I Ktosia przekonuje. Wie o tym Ktoś. Że modlitwa Marysię ratuje. Że niezwykle buduje. Marysia z modlitwy siłę otrzymuje. I modlą się razem. Własnymi słowami. Do Boga. Jedyne. Boga nad Bogami. Żeby wyciągnął Ktosia z nałogu. Żeby pozwolił pokonać peyotlowych wrogów. I modlą się z całych sił. Żeby duch Ktosia nie zgnił. Żeby został przy życiu. I cieszył się we współżyciu. Używa go Bowiem Marysia. Karmi i traktuje jak misia. Przytula. Całuje. Duch bez Marysi źle się zachowuje. Kolejna modlitwa. Kolejna nadzieja. Że uzależnienie. To nie ja. To nie Ktoś. To nie coś. Tylko zdeptane. Tylko pokonane. Daleko od człowieka. Na Ktosia już nie czeka.

Prośba Ktosia:

Proszę. Liczba.
Więcej zgłoszeń

Proszę. Nie bij.
Nie chce ogłoszeń.
Nie chcę z liczbami
Dalej walczyć

Nie jestem liczbą
Ta odpowiedź musi Ci starczyć.

Dalej zima

Sztukateria. Każdy dekoruje swoje życie. Jeden fatalnie. Inny należycie. Jeden to tu, to tam. Drugi na suficie. Różnie składa się i pozwala. Różnie, czasem coś Ci nie zezwala. Bo trzyma przy sobie. Albo przy grobie. Bo trzyma i kocha. Albo odpycha, bo szłocha. Ktoś znowu płynie. W peyotlowej zawieszynie. Ktoś znowu wziął. I siedzi. A pod nim peyotlowy tron. Który wciąga człowieka. Który wie na co człowiek czeka. I to wykorzystuje. I kolejnego człowieka marnuje. Tym razem peyotl przeniósł Ktosia do świata małych ludzi i wielkich roślin. Który jednego ostudzi a drugiego ulepi z gliny. I to powodem jest przyczyny. Że ludzie służą roślinom. W tym świecie, który dla człowieka jest gadziną. Ludzie podlewają i dbają o rośliny. Które nie zapraszają ich na poprawiny. Ciągłe mają być innowacyjni. Odkrywcy. Niewinni. Człowiek. Myśląca i pokłony składająca. Istota. Bym powiedział roślinina. Ale roślinina by się obraziła. I swym kolcem mnie przebiła. Świat roślin się krwiożerczy. Bezwzględny. Szyderczy. Niczego nie wybaczą. Nikomu się nie kłaniają. Tylko myślą o sobie. Tylko mało im wody. Chcą wciąż więcej. Pragną. I wcale nie dla ochłody. Tak się rozpuścili. Tak ludzie je utulili. Nauczony nie dziękować. Nauczony, by litość chować. Zakopywać. Byle nie uszkodzić korzenia. Swojego. Bo sąsiedniego, to nawet rośliny marzenia. Sąsiednia roślina to zgniła przyczyna. Niepotrzebna padlina. To powie Ci każda licząca się roślina. I pośrodku tego świata. On. Ktoś. Bez planu i brata. Nie ma się do kogo odezwać. Tylko zachcianki roślin wykonuje. Kurz strzepuje. Nadwątlone liście reperuje. Nie próżnuje. Nawet przerwa mu się nie należy. Ciągłe. Czy stoi, czy nie leży. Ciągłe. Z demonem roślin się mierzy. I przegrywa. I nie masz szans. Na uniki. Nie ma szans. Bez paniki. I nareszcie. Koniec. Wymęczony. I cierpieniem naznaczony. Wrócił. Wypłuty. Wrócił. Z butów wyzuty. Z mądrości i nadziei. Daleko od leśnych kniei. Jest. I on. Ktoś. Kto podpala swój własny dom. I Marysia koło niego. Zawsze. Nie mówi, i co z tego. Nie mówi, a nie mówiłam. Nie powtarza, swoje życie straciłam. Tylko stara się pomóc. Robi co może. Daje wodę. Mówi, żeby powtarzać, Mój Boże. Bo Bóg jest Twój. Jesteście jednością. Nie wiesz o tym. Bo zastaniasz się nicością. I znowu. Modlą się żarliwie. O otrzeźwienie. Umysłu naprawienie. Z narkotykiem zerwanie. I coraz lepszym się stawanie. Ktoś i Marysia. Jego dzielna Marysia. Co by nie zrobił. Ona jest. Nie od dzisiaj. Nie od wczoraj. Pomaga i czuwa. W modlitwie. I natchnieniu. Ona się

poczuwa. Ona siły dodaje. Nawet jak człowiek okoniem staje. Pomaga. Mądrość wzmacnia. Ale dzieje się to stopniowo. Nie od razu po przeszczepie można ruszać głową. To trwa. Gdy człowiek się zmienia. I Marysia wie. I zmianą staje się. I modlitwa. Tym razem dziękują. Za to jak wiele z nieba otrzymują. I natchnienie. I marzenie. Że się spełnią. W nie zawyżonej cenie. Ktoś powiedział. Ktoś odpowiedział. (Nasz) Ktoś już wiedział. Że to odpowiedni przedział.

Prośba Ktosia:

Nie chcę służyć roślinom
Obdarz mnie Panie przyczyną

Aby zrozumiał kierunki
I spełnił wszystkie warunki

Nie poświęcaj mnie za byle co
Poświęcę się gdy powiesz Kto

Ma nad prawdą kontrolę
Po kolana w szczęściu już stoję

Ciągle zima

Ktoś nie daje sobie odpocząć. Ciągle zaczyna od nowa. Niby wie. Ale wygrywa ta ciemna połowa. Co jakiś czas. Przekonuje nas. Przekonuje jego. I nie ma nic z tego. Niczego nie dostaje. Z godnością tylko się rozstaje. Traci zdrowy rozsądek. I wydaje mu się, że się udaje. Że utrzymuje porządek. Bo peyotl przychodzi tylko wieczorami. Tylko gdy jest rozmowa między nami. I się staje. I głowę rozdziera. Kolejna afera. Kolejny świat. Prawdziwy czy nie. Pali się. Ktoś jest w płonącym świecie. Płonie marzeniami. Ktoś dusi się dymem. I kolejnymi zjawami. Pojawiają się i ostrzegają. Mówią i wiedzą, że rację mają. Kolejny świat. Przytłacza poziomem wad. I te biedne marzenia. Aż piszczą. Od samego patrzenia. Oparzenia. Ciągle płoną. Nic się nie zmienia. I na końcu okrutny śmiech. Ktoś się śmieje. Albo to potężny wdech. Ktoś oddycha. Wciąga nosem dym i trujące opary. I wydycha. Sporo dymu oraz pary. Co to za stworzenie. Co wdycha i wydycha płonące marzenie. Co to za historia. Co to za chory świat. Ile jest wart. I dlaczego to mój brat. Ale może przyszywany. Może Bóg ma inne plany. Płonące marzenia. Uciekam. Potykam się, ale nie zwlekam. Biegnę na ile mam tchu. Ktoś. Budzi się z peyotlowego snu. Z zamroczenia. Z zadurzenia. Jest. I on. Z kawałkiem chcenia. Poprawienia. Wie, że było źle. Wie, że to powtórzy się. Wie, że nie może. Zawieść Marysi. Ale zawodzi. Ale nawet w myślach Marysia się z nim nie rozwodzi. Tylko pomaga. Jak może. Odwaga. Ile da rady. Taka rada. I się stara. I podaje. To lekarstwo. Tamto. Woda, woda, woda. Mierzenie ciśnienia. Tętno. Od niechcenia. Bo Ktosowi nie chce się żyć. Z zadurzenia. I z nic nie robienia. Ze swoim życiem. Ze swoim byciem. Pyta Marysię, dlaczego. I czy to śni mi się. Od tego. Boli mnie już głowa. Dlaczego, to dopiero życia połowa. Marysia odpowiada, że nie pomóc, to zdrada. Nie zrobić

nic nie wypada. Że się pomaga, a nie tylko gada. Nawet jeśli ktoś sobie na cierpienie zasłużył. Nawet jeśli, jedna osoba drugiej życie burzy. Narwy nadrywa. I idiotą przeżywa. Nawet gdy się biedak broni. Ona jest. Marysia. Nie boi się broni. Miłością się obroni. I tak się broni. I jej to wychodzi. Znowu Duch Święty do ktosia przychodzi. I modlą się w trójkę. Proszą o wybawienie. O mądrość umysłu. I zła porzucenie. Uzależnienie. Wielkie zło. I wiele zła robi to. Nie tylko temu który się zatracca. Ale to też innych ludzi praca. Trud. Którzy muszą z nim żyć. Ból. Smród. A on dalej musi się wić. I tracić kontrolę. Powiedz, ducha wolę. Bo z ducha jestem. Nie swawolę. Przyjmij właściwą postawę. Nie biadolę. Na poważnie biorę sprawę. I ją traktuję. Nie jak zabawę. I za nią podążam. Nie jak za prawem. Ale z poruszenia serca. Nie patrząc na zmęczenia. Nie patrząc na zniewolenia. Nie boję się własnego cienia. Powtarzam. Powtarza Ktoś. Wszyscy mają zła dość. Ale niewielu udaje się wyrwać. Dość. Powiedz, chce w miłości wytrwać. A nie w psuciu. Tego co Bóg stworzył. A nie w uczuciu. Że do końca życia będę się trwożył. Wyskakuj z błędnego koła. Nie ma rady. Musisz się ratować. Nie dla kolejnej zwady. Ale dla ducha ratowania. Swojego. Bo dosyć masz tego drania. Co wszystko psuje. Nie naprawia. Uciekaj. I myśl tylko nad tym, co Bogu radość sprawia.

Prośba Ktosia:

Nie chcę by moje marzenia płonęły
Nie chcę by na widok mojego ciała czapki zdjęły

Marzenia to powód do ocalenia
Odrobina chcenia, wystarczy by uciec od upodlenia

Jeszcze więcej zimy

Ktoś nie miał dość. Ciągłe było coś. Co przypominało mu o ucieczce. O uzależnieniu. O luźnej niecce. Ciągłe myślał tylko kiedy i gdzie. Znowu. Po raz kolejny. Wyniesie się. Zmieni galaktykę. I namaluje na plaży patykami. Swoje dalsze życie. A woda je połknie w zachwycie. Kolejny on. Kolejny zgon. Czy tak będzie. Zbyt wcześnie. I oblesnie. Człowiek nie pechowiec. Pech to spęd owiec. Jeśli robisz to niedokładnie. Nie kończysz stadnie. Nie doliczysz się. Pouciekają. Pech przychodzi, jeśli się ze zdrowym rozsądkiem rozstają. Myśli. Umyśli. W umyśle. Wiekuiście. I zniestrzeźwienie. Peyotlowe odurzenie. I nie wiesz po co. Inni się kłopotczą. I patrzą się tak dziwnie. A może zostałeś w samej bieliźnie. A może chciałeś płynąć po mieliźnie. Tym razem Ktoś zjadł za dużo. Ale mury dopiero się burzą. I powstaje ze zgliszczy nowy świat. Świat który ma jedną z wad. Wszyscy w nim są zadłużeni. U jednego- Króla Jeleni. I wszyscy dla niego pracują. Myśląc że długi odpracują. A długi tylko się zwiększają. Z miesiąca na miesiąc się powiększają. I człowiek tonie. W pracy i złomie. Który sam zbiera. Praca nie wybiera. Po godzinach normalnej pracy. Idzie się, kombinuje. Zbiera na tacy. Byleby tylko Król Jeleni był zadowolony. Byleby tylko Król Jeleni, nie porwał mojej żony. Bo czasami miał to w zwyczaju. Że wybierał kobiety, samotnie spacerujące po miejskim gaju. I przerabiał. Na konfitury. I się wzmagał. Bo w głowie bzdury. I ściągał podatki. Zawsze i tylko w piątek. I nie wystarczyły datki.

Zawsze wracał na początek. I zbierał. I stał. I groźną minę miał. A Ty skulony. Patrzysz błagająco. Na jelenia i na wzrok żony. Podobny do Twojego. Można uczyć się z tego. Podobny to przegranego. Co się jeleni śmieje z niego. I wynosi. Z domu. Co uda się wynieść. I zanosi. Królowi. Co nie może odsetek znieść. Zły jest. Że ludzie się nie wyrabiają. Sfrustrowany, że jeszcze do powiedzenia coś mają. Zamiast zamek z wiary mu budować. Aby w wierze niedowierzających mógł w końcu się schować. Ale za mało materiału. Wiara jest jeszcze do podziału. Ale za mało ości. A ludzie proszą, litości. I się dzieje, co dzieje się ma. Publiczna egzekucja. Nie zapracował, jeden i drugi. I giną. Za niespłacone długi. Ludzie wiedzą, że mogą być następni. Ale zarobić. Wiarą duszę ozdobić. Nie jest łatwo. Jeśli się siebie porzuciło. Coś w życiu Twoim się zmieniło. Ktoś przeżywa. Ofiara ledwo żywa. Ty myślisz, precz. Nie chce być obleczone w niwecz. Ktoś próbuje się wydostać. A peyotl tańczy. I każe mu zostać. W końcu mu się wrywa. Nie czeka na egzekucję. Króla Jeleni olewa. Ma dość całej tej maskarady. I ciągłego strachu. Ma dość jeleni. I ludzi sterczących na dachu. Aby w piątek jelenie ich nie dopadły. Aby był w wierze bogaty każdy. Co to za dramat. Co to za świat. Ty mówisz szach, a Król Jeleni mat. Marysia próbuje. I wybranka ratuje. Kark mu masuje. Zimny okład przygotowuje. I przykłada. I taka jej rada. By się modlić. Ktoś odpowiada, że w takim wypadku nie wypada. Ale się modlą. Marysia go przekonuje. Do Boga. Co od modlitwy dobrze się czuje. Nie dlatego, że go to rajcuje. Ale dlatego, że łączność okazujesz. Relację budujesz. Rozmawiasz. A nie samego siebie zostawiasz. I głośno dziękują za dary Boże. I proszą, może Bóg pomoże. I wyszedł Ktoś z narkotycznego snu. I niewiele potrzeba już mu. Ciszy i spokoju. Snu, nie znoju. I się tworzy. Magiczny krąg przestworzy. I żyje. Ten kto sam siebie nie bije. A Ktoś się kryje. Może sam siebie nie odkryje. Ma nadzieję. Oby źle było tylko w niedzielę. A jest codziennie. Za dużo tego. Kiedyś nie wytrzymam. I się rzekę tego. Życia parszywego. Marysia go przytula. Przeprasza, że była w chmurach. Ale wróciła i go utuliła. Ktoś już spokojnie śpi. Miłość Marysi to zrobiła.

Prośba Ktosia:

Ustrzeż mnie Panie
Od Króla Jeleni

Spraw by wyrok
W mojej sprawie zmienił

Mam swoje życie
Chwilę w zachwycie

Mam swoje marzenie
I się z nim ożenię.

Zima spada z dachu

Ktoś się czasem zastanawia. Dlaczego kłopoty takie sprawia. Dlaczego ciągle nogę sobie podstawia. Co go nakłania. Co traktuje jak drania. Może. Kto wie. Odpowiedź w jego głowie czai się. Może. Kto wie. Pozna sam siebie. Dowie się kto w niebie. Kiedyś. Pewnego dnia. Usłyszy. A to melodia ta. Znajoma. I znajomi ludzie. W nieznanym świecie. W bólu i trudzie. Ktoś musi. Ktoś powinien. Tylko kto winien. Ktoś siedzi cicho. Myśli. Ależ meczycho. W tej telewizji poza meczami niewiele jest. Ciągle to sobie powtarza, gdy niezadowolony jest. A zdarza się. Że siebie powtarza. W zasadzie codziennie mu się to zdarza. W zasadzie codziennie chce umieć i móc. A kończy to się bólem w okolicy płuc. O co chodzi. Nie wiadomo. O czym wiadomo. Nie ujawniono. Ktoś się zastania. Ktoś mu drogę zastania. Ktoś postanawia. A później się zastanawia. Tylko po co i dlaczego. Tylko gdzie. I co z tego. Kolejny wieczór i peyotl wchodzi. Ktoś za chwilę się dowie. Co z tego wychodzi. I jest. Ulżenie. Ujawnienie. I nowy świat. Świat, który serce Ktosia skradł. Świat cały zielony. I cały obnażony. Nikt nie ma ciuchów i dużych brzuchów. Nikt nie ma wad i ktoś zło gdzieś skradł. Świat bez masek. Bez proszenia i niechcenia. Wszystko dla wszystkich. I masz powód do istnienia. I nagle komunikat. To nie dla Ciebie. I spada gdzieś. Ktoś. Chyba był przez chwilę w niebie. Nie wie. Nie pamięta. Głowa już czym innym zajęta. Spadaniem. Zlatywaniem. Kolejnym się przejmowaniem. I upadek twardy. I los Ktosia marny. I orka straszliwa. I nie dadzą piwa. Tylko tyranie w tym ciemnym świecie. Tylko wyśmiewanie jeśli tego nie wiecie. Męki psychiczne. I to te najgorsze. Wyzywanie i obrażanie. Ktoś bez pieniędzy. A one coraz droższe. I rośnie rachunek, który musisz odpracować. I nie masz opatrunków. A przed ranami musisz się schować. Ale nie ma gdzie. I ktoś woła Cię. Podchodzisz. I widzisz. Postać we mgle. I słyszysz, czekamy. Mamy Cię w rozpiskach. Nigdzie się nie wybieramy. W Tobie zostajemy. W Tobie żyć wciąż chcemy. Bo dusza za dnia. To męka nasza. A będzie i Twoja. Każdy dostaje. To co wybrał w podbojach. I znika. Postać. Postać ratownika. Się pojawia i wyciąga Ktosia na brzeg. I reanimuje. I uratować próbuje. Ktoś w zawieszeniu. Zastanawia się. Myśli o istnieniu. Czy to już. Czy to ten czas. Otwiera oczy. A to Marysia. Ratuje nas. Robi masaż serca i sztuczne oddychanie. Mówi, że już mnie nie było. Że ma odpowiedź na nie. Że przestałem oddychać. Że nie było pulsu. Serce się zatrzymało. I znaku życia nie dawało. Ale ruszyło. Ale się wyswobodziło. Serce. W butelce. I dalej. Nic więcej. Ktoś podziękował. I dostał Pismo Święte. Do poczytania. Aby się uspokoić. I zrozumieć Pana. Czyta. Księga Ezechiela. Coś o ratowaniu. Pan ręce otwiera. I czeka. A Ktoś się trudzi. Po co Pan Bóg uratował tyle tysięcy ludzi. Nie rozumie. Przecież i tak wszyscy zginą. Przecież i tak życie jest śmierci przyczyną. Ktoś nie rozumie. Ale się stara. Próbuje. Bo nie jest skończona ofiara. Chociaż zagubiona. Chociaż nieodnaleziona. Ale kto wie. Gdzie zaprowadzi go życie. Ale kto zna. Wyrok kolejnego dnia. Jest jak jest. Wie to każdy pies. A człowiek zapomina. I zdziwiona jego mina. Ktoś już więcej się nie dziwi. Teraz wie, że są ludzie prawdziwi.

Prośba Ktosia:

Ktoś prosi
Tym kimś jestem ja

Ktoś dziękuje

Bo dostaje sam ja

Tworzywa

Lękliwa

Twarz chora

Nadpobudliwa

Zima wróciła, ze zdwojoną siłą uderzyła

Ktoś się starał. Odpuścił. Jeden dzień się suszył. Jeden dzień się nie dusił. Miał przerwę. Ale przerwa się skończyła. I następnego dnia w tragedię się zamieniła. Kolejna tragedia narkotykowa. Bo jak nie duch, to pęka głowa. Rozmywa się i tragedia gotowa. Uwija się i stłuczka czołowa. Peyotl zatańczył. A Ktoś patrzył. Peyotl się rozbierał. I kolejne poziomy czasoprzestrzeni zdierał. I się dobierał. Do środka umysłu Ktosia. Do jądra. W którym nie znajdziesz włosów. Czysta substancja. Słowo. Szarańcza, lub pomarańcza. Zależy co Cię wykańcza. I zwiedził Ktoś kolejny świat. Świat który miał kilka wad. Składał się z ryb i ikry. Ktoś był ikrą. Ciągłe nikłą. I trzymał się pozostałych. W nadziei, że nie zostanie pożarty. I trzymał się ryby matki. By za byle co nie trafić za kratki. Był to świat strachu. Braku samodzielności. Ciągłego bycia bez życia. Nie było też nikogo litości. Wszyscy byli tacy sami. Wokół mnie. Sami mali. Bojący się o kolejną chwilę. Myślący, że ktoś ich zabije. I nic nie robiący. Nie rośli. Nie zmieniali się. Ciągłe w zawieszeniu trwali. Ciągłe się tylko o siebie obijali. I krzywdę przypadkowo robili. Bo się zbyt mocno uderzyli. I dalej się krzywdzili. Bo prawdą się nakarmili. Ale wypluli. Nie smakowała. Prawda pożywna się nie okazała. A przynajmniej tak ją odczuwali. Jako niesmaczną papkę. Więc ciągle byli mali. Aż pewnego dnia. Przyptynał sum. Matka chciała go odgonić. Matka chciała dzieciom pomóc. Ale się nie dało. I wszyscy zginęli w paszczy suma. Tragedia to mało. Krzyki. Wrzaski. Nawoływania. A sum nie zmienia swojego zdania. Zjada biedaków. Ikrę młodą. Co nie rośnie. Bo podąża za modą. Jeden za drugim. Każdy taki sam. Jeden za drugim. A ja w siatkówkę z sumem gram. I po przegranym secie się wybudziłem. Z tego świata dziwnego, sam siebie wydziedziczyłem. Nie chciałem ciągnąć dłużej tej gry. Albo to dlatego, że sum pozwolił mi. Po raz kolejny stać się jak ikra. Albo uderzyć piłkę z całych sił. Zagrywka chytra. Jak sum odpowie i czy jeszcze wróci. Czy znów na kolana mnie skubaniec rzuci. Problem w tym, że teraz walczę. W myślach inaczej na niego patrzę. Ale jak w jego świecie byłem, sam siebie spaliłem. Dawałem się jeść. Bo życie miałem gdzieś. Teraz cwaniakuje. Teraz jestem mądry. Bo peyotl nie tańczy. Bo umysł już chłodny. Marysia znowu się zamartwia. Biedactwo. Jutro na obiad przyrządzę karpia. Może. Jak będę czuł się nienajgorszej. Na dworze. A nie znowu w tej oborze. Zobaczymy. Czy z sumem się policzymy. Dowiemy się dlaczego tak dziwnie istniejemy. Jeszcze tylko trochę. Marysia płacze. Jeszcze jednym fochem. Marysia na mnie skacze. I krzyczy. Każe mi obiecać, że nigdy więcej. Prosi. Robi się goręcej. Wyszedłem z mieszkania. Obrażony. Nie chce wyżywać się po płaczach żony. Muszę odetchnąć. Jest środek nocy. A ja chyba potrzebuję pomocy. Serce zmęczone. Bije jak oszalałe. Nadzieje stracone. Grubo oblane żalem. Trzeba kontynuować. Nie można się chować.

Trzeba żyć. A nie się przed życiem chować. Ale z peyotlem ciężko. Bez niego jeszcze gorzej. A ja w rozkroku. Łapie się ostatków mroku. On przychodzi. On tańczy. Peyotl. A mrok jest panem szarańczy. Dobra, koniec. Wracam do domu. Bo coś mnie mdli. Niedobrze robi się mi. Gdzieś. Jakoś. Jestem. Bylejakość. Jest kolejnym moim gestem. Może kiedyś się to zmieni. Przeprosiłem Marysię. Mówię, że to wina cieni. I idę spać. Ci od cieni, że tak powiem, rozanieleni.

Prośba Ktosia:

Jestem

I nie chce być zjedzony

Jestem

I nie chce być podzielony

Mam jedno życie

Mam jedno odbicie

Czasem tonę w zachwycie

A czasem się pytam, czy kpicie

Zima narobiła strachu

Ktoś się przeraził. A nawet na siebie obraził. Miał tego serdecznie dość. Że następny każdy też jest gość. Tylko nie on. Na szarym końcu. Zniestrzeźwiony myślami. Umorusany pomysłami. Nie wie co mówi. Nie wie co i dlaczego lubi. Jest tylko uzależnienie. I on. A kto. Nie wie. Tylko bylejakość. Takie być by kpić. Takie nie oglądać się na innych, bo przypadkiem można zacząć wyć. Ale czy na pewno. Czy cały świat jest zły. A nasz genialny umysł, ma receptę jak nauczyć dnia ćmy. Może. Kto wie. Ja jednak z dala trzymam się. Ktoś potwierdza. I się zakopuje. W pierzynie. Sam siebie znajduje. I znowu się gubi. I bawi się nadal. Jaki jest tego efekt i komu będzie go żal. Jak już przesadzi doszczętnie. Jak to co proste odczyta pokrętnie. I tak zostanie. Co wtedy się stanie. To jeszcze zobaczymy. Może. Chyba, że za niego się zmienimy. Ktoś nie wytrzymał. Kolejnego dnia bez. Peyotla. Co doprowadza go do łez. Ale bez niego też źle. Rozłąka też w oczy gryzie. Nie wie jak żyć. I co przytrafić się może. Oby nic złego, Daj Boże. Oby nic trefnego, Bóg pomoże. Bóg podobno jest z nami o każdej porze, myśli ktoś. Ciekawe, czy peyotlem też z Nim dzielę się. Ale pewnie nie. Bóg nie potrzebuje używek. Narkotyków. Nielegalnych zagrywek. Bóg sam sobie radzi. Bo jest wszechmogący. Szkoda, że nie jestem jak on. Tylko wiecznie chcący. Ktoś odpłynął. A Marysia ostrzegła. Nie posłuchał. Tak jakby źle dnia niego chciała. I odleciał. W inny świat wleciał. I tam został. Na długo pozostał. W świecie samych wielorybów. Każdy pływa. Dopóki nie wybuchł. Ze swej wielkości. Ze swej grubości. I Ktoś pyta. Nie żeby ze złości. Pyta drugiego wieloryba. Czy wieloryb to ciągle ryba. Drugi wieloryb nie rozumie. A jakie ma znaczenie, czy ktoś słowa umie. Ważne, że jestem jaki jestem.

Nie muszę się zmieniać. Ładnie się opisywać i przed innymi popisywać. Ktoś się zastanowił i dopytuje innego. Dlaczego z grubości wybuchamy. Powiedz mi Panie Kolego. Pan Kolega odpowiada, że ta zagadka, to jest zdrada. Że takie mamy przeznaczenie. Bo przesadzamy i kończy się nasz czas na antenie. Co to za antena dopytuje Ktoś trzeciego. Trzeci na to, żeby popatrzeć za niego. A tam wielkie zbiorowisko. Wielkie kłębowisko. Pogrzeb. Po wybuchu jednego wieloryba. Inni się zjadają tym co po nim zostało. A nie jest tego wcale tak mało. Inni się rzucają i sobie wykradają. Puchną coraz bardziej aż sami wybuchają. I kolejni ich zjadają. Zamknięty krąg. Zatacza koło. Co za widok. Parada zwłok. Żyjących i martwych. Zamkniętych, oraz otwartych. Otwiera oczy. Marysia mu zimny kompres położyła na twarzy. Nic nie widzi. Zaczyna. I dalej marzy. Nie dziękuje Marysi, ani o nic nie prosi. Z łóżka się podnosi i śmieci wynosi. Jakby nigdy nic. Jakby nic się nie stało. Narkotyczny taniec jeszcze dudni. A to jest nie mało. Marysia zmartwiona. Jak to kochająca żona. Marysi poleciała łza. Kolejna. I marzenia dwa. Uleciały. Na drobne się rozleciały. Kawaleczki. Bo kawaleczkami być chciały. I się stawały. I pozostawały. Nicością. Zostały. Ktoś wrócił. Ugryzł kawałek kiełbasy. I ponarzekał na hałasy. Co to za dom, w którym muzyka brzmi jak dzwon. Co to za życie, że nie można w spokoju odlecieć należycie. Sam się nie zrozumiał. Sam nie wiedział, czy słowo umiał. Kolejne go przytłoczyło. Życie. Ile dla niego znaczyło. Zaczął się zastanawiać. Zaczął pytania stawiać. I w końcu się dowiedział. Że dobrze jest siebie poprawiać.

Prośba Ktosia:

Nie chcę być
Jak ten wieloryb stary

Co ciągle wybucho
I za normę ma swoje koszmary

Wolę spokojnie
Wolę powolnie

Dopłynąć do celu
I być jeden z wielu

Zima nie zapomina

Ktoś myślał, że będzie żył wiecznie. Ale się przeliczył. Nie doliczył. Oszacował niedostatecznie. Chyba, że chodziło mu o wieczną mękę i wieczne rozczarowania. To by bardziej pasowały do takiego drania. Ale nie można oceniać. I na piekło skazywać. Od tego są inni. Nie ma co rzeczy nazywać. Pomimo, że wyglądają. Że widzisz, że się starają. Może. A może akurat przerwę w świętości mają. Kto wie. Co jeszcze zaskoczy Cię. W życiu. We mgle. W słowie. Może dasz, Mój Boże. Ktoś powtarza. I na nowo samego siebie stwarza. Nie wie, że Bóg daje, tylko my nie bierzemy. Nie wie, że Bóg stwarza, tylko my się po raz kolejny z przeznaczeniem miniemy. I trzeba kolejne poprawki nanosić. I trzeba o kolejne głupoty prosić. Zgłosić. Albo wnosić. Żyć.

A poza tym, nie potrzeba Ci nic. Ktoś się życia brzydził. Mówił o nim, nudy. Wolał się z nim szarpać. Wolał tworzyć trudy. Więc miał do chciał. Na talerzu dostał. I się stawał. I się z wiarą rozstawał. W Boga, w samego siebie i w sens. Sens widział w pogrzebie. A dlaczego. Sam nie wie. Tylko ta Marysia. Tylko ona go przy życiu trzymała. Co by było gdyby nie ona. Karetka już dawno by odjechała. Bo karetką nieboszczyków się nie zabiera. Bo karetka nie lubi jak wartość oscyluje wokół zera. I nie dał się przekonać Ktoś rozsądkowi. I na nowo chwyta za peyotl, a nie się głowi. I próbuje się powstrzymać. Ale nie wytrzymuje. I próbuje nie przeginać. Ale się nie stosuje. I leci. Znowu dał się ponieść. Przywitał go nowy świat. Kolejny, którego nie można znieść. Świat ciężarowców. Tych co dźwigają ciężary. Każdy chodził ze sztangą. Ciężką, że nie do wiary. I chodzili ze sztangami wszędzie. Do pracy i do kościoła. Dźwigali te ciężary. W domu i na polach. Cały czas z obciążeniem. Nie do wytrzymania. Cały czas pot z czoła. Nie ma niepotrzebnego drgania. Ani chwili odpoczynku. Ani chwili braku wysiłku. Tylko nowe wyzwania. A raczej, po trudnościach poznasz drania. I trudny żywot prowadzili. I się z nikim sztangą nie zamienili. I tak chodzili. Nawet się uśmiechali. Choć to co mieli, ledwo dźwigali. Zapytał Ktoś jednego Pana, dlaczego tego nie zostawi. A Pan do niego mówi, że sam siebie nie naprawi. Że musi pokazać że daje rade. Ile potrafi. I że nie czeka na zwadę. Tylko grzecznie się droczy. Ze sztangą co szczypie w oczy. O czym on mówi, pomyślał Ktoś. To jakieś majaczenie. Może drugi zabierze głos. I pyta innego, faceta młodszego. A ten, a co Ci do tego. Moja sztanga. Tylko moja. To mój skarb. Moja niedola. Ukochana. Wymarzana. Unurzana. I z chlebem podana. Ktoś powtarza. Sami wariaci. Co to za świat. A może to kaci. Każdy sam siebie ścina. Tylko na raty. I leci lawina. Ktoś patrzy. Na dłonie. A w dłoniach ogień płonie. Sam ma sztangę. O której nie wiedział. Z innych się śmiał. A to ten sam przedział. Zaczął kaszleć. Zaczął się dusić. I wyszedł z tego świata. W końcu musiał się zmusić. Wrócił do rzeczywistości. Narkotyk przestał działać. Zmartwiona Marysia, koło niego stała. Nie krytykowała. Nie przekonywała. Tylko Tym wibrującym wzrokiem. Na wskroś go przenikała. Droga Marysiu, powiedział Ktoś. Postaraj się zrozumieć. Tylko z Tobą jestem gościem. Jesteś dla mnie wszystkim. A nie narkotyki. Ten peyotl to tylko udręka i krzyki. Nie podoba mi się ten taniec. Wolę z Tobą odmówić różaniec. Marysia więc koło niego siadła. Przytuliła go czule. I co przygotowała, zjadła.

Prośba Ktosia:

Proszę, tylko kogo
Dziękuję, tylko komu

Za świt, za zmrok
Za to że wychodzę z domu

Bóg jeden wie
Czy z Bogiem spotkam się

Proszę, taka prośba ma
Bym nie zamieniał się we wściekłego psa

Zima poniewiera myślami

Ktoś się zapytał Ktosia, po co żyje. A on na to, że, żeby się podpierać kijem. Można i tak. Ta odpowiedź to znak. Co to za życie. Co to za kpicie. Mówicie co mówicie. Myślcie co myślcie. Ale dusza wie, kiedy jest na szczycie. A kiedy jest duszona. Duszona dusza. I sprawa zjedzona. Na patelni zostawiona. Ostygła. I na zimno dokończyła żona. A kto. A co. Nie wiesz, czym jest zło. To popatrz w głąb siebie. Zajrzyj. Ujrzyj. Nie wiem. Jak Ci to mogę prościej wytłumaczyć. Ile życie dla Ciebie może znaczyć. Ile dobrego. Ile niewiadomego. Ciągłe powstającego. Albo ciągle upadającego. Dusza, co człowiekiem porusza. Do czego tego człowieka zmusza. Na co pozwala. I dlaczego umysł to połykająca duszę fala. Umysł. To on przewodzi. Jak duszy nie słucha. Jak płynie samotnie na łodzi. Tylko gdzie bez duszy dopłynie. I po co się sam w podróż wybiera. Bez miłości. Bez czułości. Sam się z samotnością spiera. I co z takiego sporu wyjść może. Ktoś Ci w odpowiedzi nie pomoże. Ktosia to nie interesuje. On się peyotlem delektuje. On kolejny odlot smakuje. I odlatuje. I w tym locie się zachłystuje. Sam sobą. Jest sobie przeszkodą. Dławieniem. Dążeniem. Do upadku. Lot pikujący. Korkociąg. Na stałe wciągający. Tym razem Ktoś przeniósł się do świata marzeń. Nie było ludzi tylko marzenia. I te marzenia człowiek nudzi. Chodziły osobno. Niektóre w parach. Rozmawiały. O promocje na fitness i co trzymają w garach. Kim się staną jak dojrzeją. Jak dorosną. Niektóre się śmieją. Nie był to zły świat. Ale dziwny. I nie bez wad. Bo był jakiś zły Pan. Pan Pikawka. Który chodził i rozgniatał marzenia butami. Był wielki. Wielkolud między małymi marzeniami. A może to marzenia były wielkie a to on mały. W każdym razie marzenia pod jego butami umierając skrzypiały. Jak oscypek. Taki słony posmak. Ma każde marzenie. Gdy rozgnieciesz go przed spełnieniem. I Ktoś był jednym z takich marzeń. Zobaczył Pana Pikawkę. I jak efekt zakażeń. Biegnie, ucieka. Ile sił w płucach. Nie chce być kolejnym. Skrzypnięciem na onucach. Rozplaszczaniem. Rozgnieceniem i koniec z marzeniami. A marzenia mają marzenia. I przerwę pomiędzy końcami. Więc biegnie i do stawu wpada. A tam żaby, które krzyczą, łapać darmozjada. I cała gromada żab się na Ktosia rzuca. Jedno marzenie. A tak wiele go podrzuca. Tak wiele chce go zdeptać i rozszarpać kumkaniem. Kto kogo zje. A kto dla kogo będzie daniem. W ostatnim momencie Ktoś wydostał się z dziwnego świata. Zanim umarł. Już wie jak trudno znaleźć brata. Jak trudno zrozumieć konstrukcję tej funkcjonalności. Już wie, że są światy, gdzie nie można zaznać litości. Złości. Wielu ma jej dostatek. I płyną na niej. Jakby był to statek. Ale nie Marysia. Ale nie ona. Marysia nie jest słona. Jest idealnie doprawiona. Przyprawami a nie perfumami. Zapachem oliwkowego mydła. I dla dzieci oliwki. Zapachy, to dla zmysłów używki. Moja Marysia. Znowu zatroskana. Marysia. Moja Marysia. Znów do pracy od rana. Która to godzina. Północ. Nowy dzień się rozpoczyna. Prysznic. Tak. Pomaga. By poczuć, czym jest odwaga. By zrozumieć rozluźnienie. I poczuć się jak pod strumieniem. Kamień. Nie każdy może przestać kamienować. A powinien. Jak kamień się schować. W strumieniu. I pozwolić się muskać. Ocierać i w wodzie pluskać. Kamień. Też żyje. Ale co to za życie. Sam siebie ukamienował. Marysia wie. Co to jest życie.

Prośba Ktosia:

Nie chcę być

Rozgniecionym marzeniem

Niepotrzebnym
Zapomnianym tchnieniem

Pozwól mi być
Pozwól mi kochać

Nie tylko siebie samego
Bo nie ma nic z tego

Zima doskwiera

Ktoś się obudził. Zdziwiony, że musi zacząć kolejny dzień. Drapie się po głowie. I przez chwile chce wejść weń. Ale się nie udaje. Wszystko po staremu zostaje. Ale się nie układa. Jak nie wiesz, spytaj sąsiada. Ktoś się dowiedział. O nowym wyzwaniu. O coraz lepszym się stawaniu. Ale powiedział do siebie, nie dziś. I zakopał się, chyba w niebie. Albo w czymś podobnym. Tak mówi do siebie. Przekonuje się, że nie jest pogrążony we śnie. Przekonuje innych, że nie jest jednym z niewinnych. I drapie się dalej. Do krwi. Zdziwiony zostaje. I idzie, wychodzi. Jeszcze nie wie, że to mu zaszkodzi. I zwiedza okolicę. Pięknie podziwiać stolicę. I muranowskie nogi. Nie robią mu żadnej szkody. Tylko głowa nie współpracuje. Myśli. I coraz bardziej odejmuje. Tylko kiszki przypominają. Że ledwo już trzeci dzień dychają. Więc je byle co. Idzie byle gdzie. I ze sobą kłóci się. Narkotyk zasłania świat. Mimo, że już nie działa. Zmienia myślenie. Słuchasz się ciała. Nie ducha. Dusza robi się głucha. I niema. Nie ma takiego głowienia. Które doprowadziłoby do czegoś dobrego. Coraz gorzej. I bardziej ciągnie Cię do złego. Coraz mocniej Ci się wydaje. Że życie to jakiś nieudany sztajer. Grany przez pijanych. Nuty się nie kleją, nie należą do udanych. A Ty w tym tańcu ugrzązłeś. I nie wiesz jak się wydostać. Lepiej swobodnie. Lepiej sobą zostać. Ale czasami za daleko człowiek zajdzie. I nie wie jak wrócić. Bo coś nowego wciąż znajdzie. Nowe zajmuje głowę. I dzieli duszę na połowę. Nowe straszy, albo chwali. Nowe dostaje prowizję za wciskanie robali. Jako pełnoprawnego jedzenia. Kto bierze. A kto na coś starego zamienia. Sprawdzonego. Dopracowanego. Smaki najlepiej grają z tradycją. I co z tego. I to, że ludzie zapominają. I w nowe byleco ciągle się pchają. Diabeł na nowym koniu wciąż jeździ. I cieszy się gdy wie, że znów zwycięży. Ale wszystko ma swój czas i granice. Oddaj mu jego poziomice. Jego systemem miar prawdy się nie dowiesz. Jego przyrządy, jego probierz. Po staremu mierz. Tradycyjnie. Z dala od złego. Wszystko sprawdzaj miarą dobrego. I Ktoś znowu o tym zapomniał. Znowu się ściemniło. Porozmawiał z Marysią i na gorsze się zmieniło. Organizm domagał się narkotyku. Ktoś nie wytrzymał. I znowu złapał za peyotl. W dalszym ciągu przeginał. I odleciał. Jak zwykle w górę wzleciał. I zanim wylądował w innym świecie wędruje. Świat osłów. W którym każdy ma swoje zdanie. Nikt się nie zgadza z drugim. Nikt się nie interesuje nim. Innym. Każdy tylko siebie widzi. Bez czułości. Każdy każdego nienawidzi. Osły nie pracują. Bo się nie dogadują. Każdy by co innego chciał robić. Każdy w inny sposób się wyswobodzić. I tylko kłóć się, myśląc że każdy ma rację. Każdy swoją. I od zgody wieczne wakacje. Totalna anarchia. Totalna samowoli partia. Wariacja. Na rzecz, kolejna stacja. Bo każdy osioł myśli, że do czegoś dobrego to doprowadzi. Każdy osioł myśli, że nikomu to nie wadzi. Bo on. Bo ja. Liczy się tylko prawda ma. Niczyja inna. Nie ważne, że nieprawdziwa.

Ta którą wymyśliłem. To prawda łękliwa. Ale moja i będę niej bronił. Ale mam gdzieś inne i będę od innych stronił. Takie mądrości osły odkryły. Za takimi mądrościami się osły skryły. I znikły. Któregoś pięknego dnia. Został tylko on. Osioł numer dwa. Ktoś. Jedyny osioł na planecie. Ze swoją prawdą. Dowiedcie się, jeśli nie wiecie. Ze swoją samowolą, którą wolnością nazywał. I krzychał. Mięsa i piwa. Ale nie było niczego. Osły nie dbają przecież o drugiego. Poza tym nawet osłów już niema. Została jedna wielka ściema. Pustka. Pustynia bez życia jedna wielka dolina. Która tylko opadała. I nic człowiekowi nie dawała. Od osła tylko zabierała. I grała. I grała. I muzyka osła obudziła. Z narkotycznego snu, na nogi postawiła. Marysia Brahmsa puściła. Nerwy Ktosia ukołysa. Może. Kto wie. Ale Marysia zna się. Ale Marysia wie i przeprasza. Prosi. Płacze. Sąsiadów sprasza. Lamentuje. Sufitu nie czuje. A to Ktosowi przyśniło się. Łącznie z tym że brał peyotl. Zdziwił się. Położył się bowiem dziś wcześniej spać. Odpocząć organizmowi postanowił dać. I przespał dwanaście godzin. I śnił o peyotlu. Osłami nerwy studził. Na pustyni namiętności. Na muzyce rozkoszności. Gości. Sproście gości. Nie będę miał dla nich litości. Ostrugam i wrzucę do gara. I wypiję. Taka osła czara.

Prośba Ktosia:

Nie chce być sam
Dość tego już mam

Kłócić się nawet z najbliższymi
Po co. Gołosłownymi

Manierami. Gołosłownymi.
Sztukateriami

Byle tylko się podobało
Chce, aby błyszczeć się przestało

Zima szuka frajera

Ktoś poszedł z Marysią do kościoła. Marysia go przekonała. Choć tonął w mozołach. To to. To tamto. Wszystko ważniejsze. Zajmował się nawet skakanką. Kościół. O księżach Ktoś nie miał dobrego zdania. A Marysia mu na to, że pogarda Boga zastania. Że trzeba ludzi kochać, a nie ich oceniać. Każdy popełnia błędy. Byleby na lepsze się zmieniać. I idą i próbują. I z kościołem się siłują. I rozumieli. Ale dopiero gdy siłować odechcieli. Zapach niedzieli. To wyjątkowa woń. Spokojna toń. Która Cię poniesie. Jeśli się nie będziesz szamotał. Zaczynij się rzucać. A zamienisz się w trupa. Kościół pomaga, albo przeszkadza. Zależy kto Ci do ucha doradza. Zależy kogo słuchasz i komu przytakujesz. Zależy czy zdanie drugiego szanujesz, czy psami go szczujesz. Kazanie było o wyobraźni. O tym żeby rozwijać przewidywanie. Niebo. I to co u Boga jest grane. Żeby próbować zrozumieć. A nie badać naukowo. Tylko na wyczucie. Czuć a nie ruszać głową. I coś w tym może i było. Coś w głowie Ktosia przeskoczyło. Z księdzem się w zasadzie zgadzał.

Ale niewiele go to zmieniło. Wrócił do domu i od razu peyotl zaaplikował. Zjadł. Dobrze przy stole się nie zachował. Nie było savoir vivreu. Zasady wyparowały. Tylko opary z Ktosia zostały. On zaś był daleko. Nosił i rozdawał mleko. Każdemu pod drzwi kładł. Aż przed jednymi drzwiami spadł. I roztrzaskał się o butelkę. Spadł. I pogniótł całą nakrętkę. Zepsuta etykieta. Nie do odmalowania. Mleko stworzyło nowego drania. Wyskakuje właściciel posesji. Krzyczy, lamentuje. Dodaje niepotrzebnie presji. Jak to tak można o butelkę się pogruchotać. Spadać a butelka tonie w kłopotach. Mleko ważniejsze od człowieka. To dla wielu podnieta. Mleko co żyje i czuje. To wielu mądrych przekonuje. Mądrość światowa, nie życiowa. To na sznurku kiwająca się głowa. Mądrość jak grzyby. Jest wiele gatunków. Jak się pokaleczysz, korzystaj z opatrunków. Chyba, że jesteś mlekiem. Albo oderwanym ćwiekiem. Tak się błyszczał. Szczerzył kły. A odpadł od reszty. Tak udawał, że się stawał. A nie wydali mu reszty. Wybudził się Ktoś, z narkotycznego otumanienia. Myśli. Czuje. Że to nie koniec jego istnienia. Patrzy na Marysię. Marysia się nie odzywa. Tylko ten jej przenikliwy wzrok. On jakby palcem kiwa. Jakby chciał powiedzieć, oj Ty kolego. Zawiodłeś mnie. Po raz kolejny. Nie będzie nic z tego. Ale Marysia nic nie mówi. Aż boli milczenie. Aż czuje jego przygniecenie. Ktoś. Wolałbym gdyby mu nawrzucała. Obraziła. Gdyby rozwieść się chciała. Może. Tak sobie myśli. Wolałby. A tak. Cisza. I służba. Pomaganie. Czystym sercem wycieranie. Stóp. Które brudne mają dranie. Drób. Smakuje, ale nie na śniadanie. Marysia. Oj Marysia. Czeka, żeby Ktoś się przysiadł. I porozmawiał. Pochwalił. Albo po ludzku się wyzalił. A Ktoś ma wyrzuty sumienia. Przeprosił. I zabrał się do jedzenia. Bez słowa. To prawdy połowa. Oniemiała. Marysia się nie gniewała. Gniew nie pomoże. Podobnie jak powtarzanie, Mój Boże. Nie pomoże też oczekiwanie. Ani z drogi zawracanie. Trzeba zmienić swoją postać. Nowy ja. Nim trzeba zostać. Porzucić starą skorupę. I skosztować po raz pierwszy zwykłą zupę. Po raz pierwszy złapać oddech. I po raz pierwszy złapać za miech. By rozpalić ogień miłości. I odciąć się od zła. Bez litości.

Prośba Ktosia:

Ktoś się pyta

Ktoś odpowiada

Rzeczywistość się

Do człowieka skrada

O nią się opiera

Rękę za rękę zakłada

Rzeczywistość spada

Ktoś mówi, taka była moja rada

Zima przez okulary spoziera

Ktoś miał dość. Samego siebie. Nie mówił o tym głośno. Ale myślał w gniewie. Ile tak można. Z takim baranem. Użerać się. Zbierać. Wycierać. A co dalej, jest znane. Koło. Powtarzalność. Nieobliczalność. W poziomie głupoty. Niezdarność. Z wadą, która prowadzi do ślepoty. I tak się kidasz. Całym światem. Do tego Cię przezywają, mówiąc, że jesteś wariatem. I może. Sam nie wiesz. Kto Ci pomoże. I może. Otworzę. Puskę. Albo się do niej spać położę. Znaki. Znaczenia i upodlenia. Ciągłe to spotyka takiego lenia. Który myśli, że wie. A w swoim nazwisku myli się. Który wie, że myśli. Jednak to co myśli, nigdy się nie ziści. Stodoła. Kolejna podpora. Albo okazja do podpalenia. Zapytaj czego chce, lenia. Ktoś idzie i podpala. Tu rzuci niedopałek. Tak podpalić się pozwala. Ktoś nie wie, kiedy idzie fala. Akurat na zdjęcia sobie pozwala. Aby upamiętnić chwilę. Aby zapamiętać moment. A zostaje katastrofa. Nie jest to dobry omen. Trzeba się dzielić. Nawet jak ma się niewiele. Ale nie dziel się złem. Katastrofą. Nie rozumieją tego przyjaciele. Nie dziel się przykrością. Nie ściągaj jej na innych. Lepiej zostać jak inni. Całe grono niewinnych. Ktoś do tego się nie stosował. Wolał. Próbował. I później się chował. Myślał tylko o sobie. A nie o cierpieniu innych. Pomyślę, myślał, w grobie. Teraz mam kilka trików zwinnych. I robił. I się godził. I z jarzma się nie wyswobodził. Póki co. Zobaczmy co dalej spotka go. Póki co. Łapie za peyotl i dzieje się to. Magia. Bez świąt. Znietrzeźwienie. Wyjmij mnie stąd. Powtarza. Marysia nie daje rady. Ktoś zagrożenie stwarza. I tonie. I kolejnych omamach. Przenosi się do świata o samych ranach. Rany chodzą ulicami. Rany rozmawiają ze sobą. Tak między słowami. Jedna rana kłuta mówi do szarpanej. Moli mnie dziś głowa. Odpowiedzi muszą być znane. Szarpana odpowiada, że to wina jest latorośli. To ci młodzi. Bo oni na zło nam wyrosli. Nie chcą być jak my ranami. Nie chcą dawać się zadawać. I krwawe ślady pozostawiać. A dumnie jest być raną. Dorodną. Wyczekaną. Efekt pomyłki, albo jakiejś bijatyki. Każdy pijak wie o czym mówię. Impreza zaczyna się gdy wywracają się stoliki. Rany, Rany, Rany. To do nas należy świat. Świat jest pełen ran. Jak w domu jest pełno ścian. Są też rany psychiczne. Najróżniejszego rodzaju. Nie gorsze niż fizyczne. Ale mniej szanowane w tym kraju. Jednak jak ktoś rozłupie czaszkę, to Rana jest z siebie dumna. Taka wielka. Dorodna. I w dodatku rozumna. To Ci dopiero impreza. To Ci dopiero dokazywanie. Jak krew tryska. Zaczyna się psów ujadanie. I rozrywanie. Ran na strzępy, kawałki. Rany się dziwią. Przecież są śmiałki. A stają się kolejną ofiarą. Jakby były niezdara. Nie są tak docenione. Jakby chciały. Być wyniesione. Aby powiedzieli, piękniej się nie dało. Świat ran, to to co Ci zostało. Kiedyś tam się znajdziesz, o ile już nie jesteś. Kiedyś marzenie spełnisz. Albo zamienisz się gestem. Słowem. Ozdoba. Z grona. Wychodzi. Z grobu. I skwierczy. I sterczy. Ktoś otwiera oczy. Ktoś znowu się zamroczy. I znowu na chwilę wraca. Który to świat. Ten, w którym jest praca, odpowiada Marysia. Żarty jej się trzymają. Grobowe. Tylko takie do powiedzenia coś mają. Ciągłe nowe. W głowie pozostają. Ciągłe żywe. Pomimo śmierci. Pozorne trwałymi się stają. Marysia przynosi herbatę. Ktoś nie pije. To robi mu kakao. Ktoś łapie się za szyję. I mówi. Dość. Dość takiego życia. Ile można. Nienawidzić. Ile można. Z siebie szydzić. Na to Marysia odpala rakiety. Nie raz widziałam, plan tej nowej makiety. Ale bitwy nawet nie zaczęto. Pierwszego strzału nie było. Tylko planowanie. I oby tym razem, na planowaniu się nie skończyło.

Prośba Ktosia:

Nie chcę ranić
Pozwól mi

Nie chcę schrzanić
Opuść brwi

Nie oceniał mnie proszę
Niosę ze sobą kalosze

To na grzęzawisko
To dopiero będzie widowisko

Zima znów się zaczyna

Ktoś. Myśli że z niego ktoś. Nie ważne, że fakty są jakie są. Nie ważne, że zębaki o siebie trą. I niszczeją. Zbyt szybko się ścierają. To bez znaczenia. One znać zainteresowanemu nie dają. Ktoś na znaki nie patrzy. Na obietnice również. Nie pamięta, że po dwa jest trzy. Przestraszy go byle zwierz. I siedzi wystraszony. Bo ze zwierza przeszło na kult mamony. Nie ma jak połączenie. Narkotyków z pieniądzem. Brakuje styków. Oklasków ciągle mało. Tak się wydaje Ktosowi. Albo się przez moment wydawało. Pieniądze przychodzą i odchodzą. Tak jak ludzie umierają się i rodzą. Ważne co z nimi robimy. Czy się z nimi kłócimy. Wszystko trzeba szanować. A nie przed prawdą się chować. Wszystko trzeba znać. Ale nie zawsze na poważnie brać. Ktoś był miły dla Marysi. Jak nigdy. Zazwyczaj w sobie się kisi. A dziś wylewny. Pogadany. To tu. Tam tany. I w te tany. Podskakuje. I w te tany. Się znajduje. On i jego ukochana Marysia. On, chwilowo wolny dzisiaj. Chwilowo. Bo nic nie trwa wiecznie. Rusza głową i sprawdza czy czuje się bezpiecznie. Kto patrzy i kiedy. Kiedy przyjdzie czas. Że będzie mógł zażyć. I zostawić nas. Czekał aż Marysia zasnęła. Dobrze po północy. I bierze. I się łamie. I staje się częścią nocy. Odlatuje. Do świata gdzie woda buzuje. Dwie wody. Walczą. Nie po to by przełamać lody. Ale aby się zdominować. Gorąca i zimna. Jedna z drugą zaczynają się próbować. I się przeciągają. I się zalewają. Gorąco parzy. Zimno w ciepłe się smaży. I gasi je chłodem. I ucisza powodem. Że prędzej czy później. W chłodzie jest luźniej. Zrozumiesz to i wybierzesz. Gdy nie będziesz ślepym żołnierzem. Z wypranym umysłem co woli. Gdy się pali i człowieka smoli. Woda która smoli. To początek niedoli. Woda, która myje. Sprawia, że człowiek żyje. Bo to z wody człowiek jest zbudowany. Jak wszystko co żyje. Ale zimnej. I w kierunku chłodu ma plany. Mądry. Bo głupi woli być rozgrzany. Z gorącej wody została tylko para. Po wielu latach. Taka niezdara. A zimna została i powoli się zmieniała. Dojrzała. I stała się stała. Stałocieplna. Zawsze chłodna. I pogodna. Wypiękniała. I dojrzała. I pierwszym przyjemnym światem się stała. Świat jednej wody. Która rozdziela ludziom swobody. Świat jednego oddechu. Który nie zna zjawiska bezdechu. Ciągłe żyje. Ciągłe pracuje. Zamienia się. I owocuje. Ktoś się jednak wycofuje. Coś

go wypycha. Gdy pyta co słycać. Woda. Nie odpowiada. Chce zostać w tym świecie, ale czuje, że nie wypada. I wychodzi. I się wydostaje. Na powierzchnię. W łóżku zostaje. Sam siebie zastaje. I nigdzie się nie wybiera. Śpi. I rozżalenie ze sobą zabiera. Że nie był jak ta woda. Że nie był klarowny. Chłodny i pogodny. Marzy o takim życiu. O takim wypełnieniu. Łaską. Życiem. Chłodnym skinieniem. Wierzy, że może kiedyś się stanie. Wierzy, że może coś kiedyś zagra. Zgra się i powstanie melodia ładna. Póki co, jest na gorącym. Póki co jest jedynie chcącym. I się w chłodnej topi. Bez wyporności. Odmęt głęboki. Bez zdolności. Albo z ukrytymi. Lepiej się nie chwalić. Że jest się między bogatymi. Bogatymi w coś czego nam brakuje. Bądź a nie próbuj. Próbowanie nie skutkuje.

Prośba Ktosia:

Który świat
Jest prawidłowy

Który świat
Jest ciągle nowy

A może to my
A może to psy

Ktoś staje się światem
A ktoś inny wariatem

Zima dachówki przypomina

Ktoś wstał jakby nigdy nic. Nie przyznaje się. Mówi, że musi się strzyc. I idzie do fryzjera. I nowy dzień otwiera. Robi co trzeba, albo nie. Ważne, że z sobą nie kłóci się. Trochę pracuje. Pracuje zdalnie. Trochę leniuchuje. Leniuchuje nachalnie. I się popsuje. Albo naprostuje. To już zależy. Co kogo rajcuje. I okoliczności. I kolejne skłonności. To skłonności nas budują. Albo burzą. To skłonność świecą jak słońce. Albo się chmurzą. To skłonność. Żyjące w nas. Chcące. Często nad przepaść nas prowadzące. Trzeba je wychowywać. Nie można się do nich nie zbliżyć. Nie można pozwolić, by przejęły nad nami kontrolę. Nie można chwalić, gdy niepiśmienny chce zostać redaktorem. I Ktoś tak żyje. Po swojemu. Na co dzień w miarę normalnie. Wieczorami nachalnie. Na co dzień, udaje miłego. Wieczorami w innych światach pogrążonego. I po środku tego Bóg. Do którego Marysia go przekonuje. Wspólne modlitwy. I powtarzania, że każdego człowieka się szanuje. Ale świat nie jest taki. Jak w kościele opowiadają. Ludzie są krwiożerczy. Lub krwiożerczymi się stają. I powstają. I się rozgryzają. Nogi odgryzają. Ogórkiem kiszonym zagryzają. Ludzie, wilki. Bez futra i skóry. Ludzie, szminki. Bez koloru i zapachu. Nie dość masz tego rajwachu. Pyta Ktoś siebie samego. Nie dość masz wiecznego strachu. Nie pyta. Tylko przed odpowiedzią znika. Ktoś kupił kwiatka. Doniczkowego. W prezencie. Marysi. Wręcza pięknego. Marysia tylko patrzy. I się uśmiechnęła. Nie odpowiedziała. Pod włos Ktosia wzięła.

I pod włosom zostawiła. Lepsze to niż mogiła. Podwłosowy taniec. Nie każdy skazaniec. Można z własnej woli. Tańczysz. Wciąż. Do woli. Przyszedł także wieczór. Zatańczył razem ze mną. Mówię mu. Którędy. On pokazuje zmienną. Zmienna dobra opcja. Ale nie na długo. Człowiek powinien być stałym. Kochającym sługą. Wieczór i kolejny peyotl do skonsumowania. Nie patrzy już na Marysię. Na to czy zabrania. Że się patrzy. Ze strachem i politowaniem. Że mówi, obiecałeś. Odpowiada, pełnym zdaniem. I leci. I krąży. Pytanie tylko, czy zdąży. I łapie. I chwyta. Sam jednak nie wie, że to kocie kopyta. I nowy świat. Do którego się przenosi. I nowy świat, który o drobne prosi. Przenosi się do świata pieniądza. Wokół same pieniądze i kolejne rządze. Chodzą za ręce. Chodzą parami. I nie zamieniają się. Czasem tylko, zdaniami. Pieniądze wiele oczekują. Od rządów z którymi się pokazują. Uległości. Jednomyślności. Wszystko to sobie kupują. Rzecz jasna. Rzecz ciasna. Nie kupię sobie byle jakiego ciasta. Musi być unikalne. Musi być na zamówienie. Wszystko szyte na miarę. Pieniądze mają życzenie. Pieniądze wiedzą czego chcą. I na bogato się wożą. Pieniądze się nie rozmieniają. W wysokich nominatach pozostają. Sobą. Pienięzną wciąż modą. Kłóć się tylko który ważniejszy. Który tylko odważniejszy. Nominał nominałem. Niektórzy go obchodzą. I mówią, że są kolekcjonerzy. Że w innej lidze chodzą. Że ich wartość liczy się podwójnie. Że ich kość, dobrze leży w trumnie. Ale to kiedyś. Może. Jak nie zostaną wydane. A póki co korzystają. Z tego jak bardzo są znane. I z pożądania. I z chęci wydawania. Kupowania, sprzedawania i pieniędzmi się wymieniania. Pieniądze się śmieją. Inni nie rozumieją. Pieniądze kuleją. Tych, co od nich wieją. Bo pieniądź zawsze z duszą jest połączony. Inny pieniądź jest żony. A inny, na procent pożyczony. Inny pieniądź emerytki. A inny biznesmena. Każdy jednak pieniądź. Człowieka odrobinę zmienia. Wpływa na humory. Wpływa na myślenie. Widzenie życia i doświadczenie. Pieniądze skopały Ktosia. Już wie, że ich nie posiadał. Ze stłuczeniami i obolały. Wraca do świata żywych. Choć wydaje mu się, że nie cały. Marysia pyta, co widział. Odpowiada, pieniądze. Marysia na to, szkoda, że nie wzięłeś. Ktoś, już więcej na pieniądze nie wsiądę.

Prośba Ktosia:

Świat pieniądza
To jedna rządz

Świat Cię strąca
To głowa płonąca

Płonie pożądaniem
Płonie powtarzaniem

Na co Ci to było
Patrz jak Cię to zmieniło

Zima sobie poczyna

Ktoś się nie zastanawiał. Kolejne kroki stawiał. Wszyscy na jednego. Tak skarżył się na Niczego. Tak wołał do Swobodnego. Tak mówił do Straconego. Cała trójka się chowała. Choć ukradkiem w nim mieszkała. I słowa przychodzą zobaczyć co słycać. I muchy zlatują się, bo chcą dalej dychać. Wszystko, cała przyroda, mówi szkoda. Mówi dość. To nie dla psa kość. To kość wystawowa. Ciągłe nowa. To kość na wyprawkę. Ucz się. A dostaniesz czkawkę. Może. Pomoże. Może przed nim się rozłoży. Ktoś myśli. Tyle trwożeń. Tyle złożeń. I się ciągle. I się nagle. Buduje na stromym widziadle. Ktoś słucha. Co to za mówienie. Co to za słowa i jakie ich znaczenie. Musze to odkryć. Muszę się dowiedzieć. Zrozumieć sens życia. Zamiast tak tu siedzieć. Poszedł więc do proboszcza. I cytuje to co wyżej. A proboszcz na to, daj sobie spokój najwyżej. Prawdy są w Kościele schowane. A nie drukiem, przez byle kogo napisane. Nie czytaj takich głupot. Przyjdź na adorację. Zrozum czym jest miłość. A będziesz miał od złości wakacje. Wieczny pokój. Wieczny spokój. To oferuje religia wokół. Tylko mało kto słucha. Tylko mało kto patrzy. Wszyscy szukają daleko. Zamiast zrozumieć, że po dwa jest trzy. To takie proste. To takie oczywiste. Żeby pojąć co znaczy przejrzyste. Żeby stać się częścią pięknego świata, a nie wielkiego brata. Żeby być szczęśliwym, a nie bez ustanku hałaśliwym. Tylko coś. Nowy ktoś. Kolejne ukryte prawdy. Wyglądasz mizernie. To od myślenia. To od główkowania. Ciąglego, bez przerwy, pustego gadania. Ale dzień dniem, a noc nocą. Ktoś przywitał się z północą. Peyotlem. I prosi by mu zatańczył. I tańczy. Peyotl. Zawijacz czasu. Samozwańczy. I przenosi ktosia do innego świata. I Ktoś się dowiaduje, że nie ma brata. Nikt brata ani siostry nie ma. To nie żart. Ani egzema. Taki jest ten świat. Że wyginął każdy brat. Wszyscy są niespokrewnieni. Wszyscy obcy. Jak różne treny. Nikt z nikim się nie zna i nie rozmawia. Tylko proste uprzejmości. Nic radości nie sprawia. Wszyscy smutni. I zgorzkniali. Wszyscy jacyś tacy mali. Bez radości. Chęci życia. Bez bliskości. Wspólnego przeżycia. Co to za straszny świat, pyta się Ktoś. Nasz ma może sporo wad. Ale ten. To zdecydowanie nad śmiercią życia tren. Życie było i umarło. Zawiązało się kokardą. I odeszło w siną dal. Ale mi tego życia żal. Bo życie to ludzie. To związki w radości i trudzie. W bólu i zranieniu. Ważne, że we wspólnym istnieniu. Ważne, że w kolejnym natchnieniu. Bo to drugi człowiek jest nam motywacją. To drugi człowiek jest największą atrakcją. Zrozumiał to Ktoś, patrząc na ten świat. Bez wad, ale nikt nie wiedział kim jest brat. Kim jest rodzina. Kto kończy a kto rozpoczyna. Każdy żył na własną rękę. Dla siebie facet kupował sukienkę. Wszystko dziwne. Poplątane. Wszystko kończy się nad ranem. Trzecia w nocy Ktoś się budzi. Nawet nie wie, że się studzi. Czwarta, piąta, nie może spać. O bliskości wciąż myśli. Ile można z siebie dać. Będę lepszy dla Marysi. Myśli sobie i nie wisi. Leży. A chwilami nawet bieży. Może. Bo chłodno już jest na dworze. Życie się zaczyna i kończy. W zachwycie. Bo dobrze wiemy ile nas łączy.

Prośba Ktosia:

Strata brata
Wymień na dukata

Strata syna
I gonitwa się zaczyna

Nie pozwól Panie
Nie zezwól na czekanie

Połącz nas póki czas
W jednego Jezusa, który żyje w nas

Zima zmarzła

Ktoś wiedział, że przesadza. Nie wiedział zaś jak się naszczepki rozsadza. Nie było mu to jednak potrzebne. Tak mu się wydawało. Nie dbał o to co pokrewne. Choćby nawet się stawało. Zwiewne, lub przebiegłe. Marysia zrobiła mu obiad. Nie zjadł. Marysia zapytała go ile jest wart. Nie zgadł. Nie chciało mu się znowu rozmawiać. Bo tak. Nie chciał problemów sprawiać. Co to za małżeństwo, co z sobą nie gada. Co to za społeczeństwo, co ręce bezradnie rozkłada. Nie potrafi z rodzinie się porozumieć. Bardziej mu się wydaje, niż potrafi umieć. Umieć siebie. Nie tylko w potrzebie. Umieć życie, nie tylko żeby było przeżycie. Ale żeby czerpać. Ale żeby mieć. Z życia coś wspaniałego. A nie tylko chcieć. I kolejny dzień. Ktoś strzelił palcami. Minęło 24 godziny. Bez gadania. Tak, między nami. Bez peyotlu, choć go brakowało. Nie mnie. Mnie jest ciągle chwały mało. A peyotl chwały nie przynosi. Tylko o uwagę się ciągle prosi. I Ktoś w końcu się ulitował. I drugiego dnia w milczeniu się w roślinie schował. Cały. Zmieścił się. Nie do wiary. I przeniósł się do innego świata. Znowu. Zrozumiał. Że jest kimś kto gdaka. Był kurczakiem. W kurczakowym anty-raju. W klatkach. Co nie przypominają gaju. W klatkach. Co zamykają w życia skraju. Ciągłe bez chęci. Ciągłe bez planu. Kurczaki klatkowe. Nie wiedzą nawet, że można zaznać lepszego stanu. Nigdy po trawie nie biegali. Nigdy trawy nie poznali. Dżdżownicy. Z taką w dziobie nie uciekały. Tylko karmienie paszami. Tylko klatki z kolejnymi klatkami. Tylko ucisk i gdakanie. Ale nie o ucisku przypomnienie. Przecież wszyscy mają tak samo. Więc po co się kłócić. Przecież wszyscy budzą się rano. I idą zboże młócić. Może. Niektórzy. Jak w klatkach nie mieszkają. Całe życie w klatce. Tylko takie życie znają. I sobie gdakają. Jak lubią. W gdakaniu wolność mają. Czasem szybciej. Czasem wolniej też nogami przebierają. W klatce. Wszyscy się znają. Niczego nowego nie odkrywają. Bo po co, skoro wszystko podane na tacy mają. Woda, pasza, przyjaciele. Inne kurczaki. Od święta i w niedzielę. Od poniedziałku, przez pozostałe dni. Wszystkie. Zlicz i dodaj wszystkie mi. A odwdzięczę się. Mówi do Ktosia jakiś kurczak. Ktoś liczy i sam nie wie ile wokół zniczy. Jeden kurczak jeden znicz. Się wypala i nie zostaje nic. Jeden do połowy tylko dopalony. Inny, gaśnie już. Z innej strony. Są i takie, które zapalić się nie chcą. Wolą nie jeść. I zdechną. Być synem klatki. To dopiero rzecz. Jeden ją kocha. Inny mówi, precz. Ktoś wybudził się z narkotycznego snu. Gdacząc. I weź coś powiedz mu. Haracząc. I samemu siebie znacząc. Marysia wręczyła mu Biblię. I mówi, czytaj, zdecydowanym głosem. Czyta, na czym mu się otworzy. O ziemi Chetyty, Amoryty i milionach innych stworzeń. Kto komu daje. Kto się z kim zadaje. Marysi się zdaje, że nie ma w tym bajek. Ktoś jest mądry, kiedy nie jest na odlocie. Mądry w sensie wie, czym jest dziura w płocie. Ale się tą dziurą nie przejmuje. Robi kolejne i tym się raduje. Taki stan. Zbłądzenia chronicznego. Taki stan. Przemienienia wieloznacznego. Z kurczaka można wiele. Dla kurczaka też. O ile chce i może. O ile nie jest podstępny zwierz.

Prośba Ktosia:

Jak jest w klatce
Pytam się

Powiedz matce
Kocham Cię

Spuść zasłony
Objedź zagony

Który ostatni
Zostaje w matni

Zima odmarzła

Ktoś był wyjątkowo miły dla Marysi. Myje, sprząta, łazienkę czyści. I się dopytuje, jak Marysia się czuje. I się wnet znajduje. I nie oponuje. Dostosowuje. Z chwili się raduje. Znajduje. I wie, że w szczęściu figuruje. Ma go na liście. Szczęśliwie i przejrzyście. Chwali sam siebie. Powtarza, że to był wspaniały dzień. Umie. Płomień i mówi mu zmień. Mowę. A płomień nie ustępuje. Z płomieniem się kłóci. A płomień się snuje. Jak myślisz. Co go skłania, że dywersyfikuje. Że się kida i marnuje. Płomień. Co Ktosia ukamienuje. Jeśli ten chwili nie skosztuje. Dalej. Mnożej. Koncert stworzeń. Dalej. Prędeej. Wiem którądy. Ktoś się zakładał. Ale do puli nie dokładał. I skończyło się. Gdy wieczorem zatliło. I się zapaliło. Płomień. Taniec peyotla. Kamień. Większa ochota. I nowy, kolejny świat. I peyotl, który nie jest bez wad. I świat. Ptaków bez skrzydeł. Co latają nie tykając spadających prawideł. Nie ważne, że nie masz czym machać. Ale machasz. Nie ważne, że bez skrzydeł. Ale lecisz. Nie zaprzeczysz. Taki to był świat. Takie ptaki. I taki znak. Ptaki się zdarzały. Na zakrętach nie wyrabiały. Ptaki nie zaprzeczały. Tylko grzecznościowo sobie przytakiwały. Ptaki bez skrzydeł. Ciągłe się rozmnażały. Ptaki bez skrzydeł. Nie czuły, żeby skrzydłom brakowały. Po prostu. Nie ma, to nie ma. Po co osobny temat. Jest jak jest. Niech zostanie. Jeden pies. I lot kulawy. I wywracają się na widok strawy. Ale się rozmnażają. To najważniejsze. Do tego zdążają. I mądre rozmowy ze sobą prowadzą. Że są nie byle jakie. Nowoczesne. Że sobie nie wadzą. Nie latają na oślep. Ani nie oślepiają. Nie straszny im jakiś zwierz, ani ozdobny krzew. Ptaki bez skrzydeł. Dzikie, czy udomowione. Zwykłe. I najnormalniej w świecie szalone. Taki był ten świat w którym znalazł się Ktoś. Taki jest ten brat, którym okazał się gość. Pytanie co z nim zrobić. Jak gościa z życiem pogodzić. Pytanie w jakim celu. Mówisz, dzień dobry, mój przyjacielu. Są tacy co się zastanawiają. Inni bez skrzydeł biegają. Ktoś przekonał boleśnie się. Że z innymi ptakami trudno dogadać się. Gdy zwrócił uwagę, i zapytał dlaczego bez skrzydeł latają. Został rozdziobany. I ptaki radość nową mają. Dziobią Ktosia ile sił. Dłubią w nosie, a ktoś bił. Koniec. Pobudka. Gdy dokonywał żywota. Jako ptak bez skrzydeł. I tonął w kłopotach. W ostatnim momencie wydostał stamtąd się. W ostatnim momencie zrozumiał co jest złe. A przynajmniej teraz tak mu się to wydawało. A

przynajmniej tak sobie sprawę zdawało. To co go trzymało. I ciągle nie było małe. I ciągle się zamieniało. Płyną. On i Marysia. Marysia odpoczywa. Po pracy bywa lękliwa. Czy Ktoś znowu nie przesadzi. Czy ciało aby go nie zdradzi. Aby. Wadzi. To ciało, człowieka prowadzi. Ślepego. Duch. Czującego. I krąży. Sz. Szumi od kwiatów peonii. I zostają, albo coś je skłoni. By iść dalej z człowiekiem. Przed siebie zwiedzać świat. By cieszyć się konkretem. Gdy wiesz kto jest Twój brat. I idziesz. Krążysz. Żyjesz. I znajdujesz, albo już odkryłeś. I cieszysz się że masz ją. Kobieta u boku swą.

Prośba Ktosia:

Zapytasz
Po co mi skrzydła

Odpowiem
Takie są prawidła

Szczęście na czymś osadzone
Radość to kochać swoją żonę

Przytul, powiesz, jeszcze czas
Zatrzymuję. Bo jest miłość w nas.

Zima kicha

Peyotl. On Ktosiem rządzi. Peyotl. To dzięki niemu Ktoś tak błędzi. A przynajmniej tak mu się wydaje. Ktosiu. Który z racją się rozstaje. Gdy widzi używkę. Gdy słyszy dźwięki muzyki. Zapowiadającej taniec. Z piekła słychać krzyki. I wchodzi na tego konia. Czarnego i kulawego. Ktoś. I to nie jest tak, że nikt nie ma nic do niego. Ktoś. Kto zaczyna i nie kończy przeginać. Ktoś. Od którego zaczyna się nasza kolejna mina. I się zaczęła. I jest. I się nie zgięła. A Ktoś się wymądrza. I do sklepu zdarza. Jakies drobne obowiązki. Jakies wiosenne gałązki. Jakies drobne zachcianki. I ściągane w mieszkaniu firanki. Do prania i prasowania. Do gotowania i naczyń zmywania. Aż do zaklania. Aż do zwymiotowania. Wiosenną mgłą. Co ją zachodni wiatr przywiewa. Siłą swą. Ktoś się wymądrza. Ktoś do domu zdąża. Wstępuje jeszcze do baru. Nie może się odgonić od barowego czaru. Wstępuje jeszcze do kaplicy. Posiedzieć chwile przy gromnicy. I pomodlić się do przodków. O powodzenie. I odgonienie zła zarodków. Wrócił do domu i się kokosi. O podrapanie Marysie prosi. O masaż i dwa komplementy. To nie jest tak, że wyjdiesz z życia nietchnięty. Aż się udało. Dobre zostało. Przez parę godzin to się nie zmieniało. Ale przyszedł wieczór. I stare przyzwyczajenia. Ale przyszedł wieczór. I kolejne tchnienia. O peyotlu marzenia. I przez peyotla wchłonięcie. Patrz do przodu, a zobaczysz co jest na kolejnym zakręcie. Ktoś patrzył w ciągu dnia. Ale wieczorem się odwrócił. Tak się sprawa ma. Że mocno się zasmucił. Ale wszedł do tego pokoju. Sam na sam z peyotlem. Z nad stołu. Patrzy. Odpowiada. Szepcze. Ten się skrada. Tamten garsonkę zakłada. I jaka moja rada.

Nowy świat się z Ktosiem zakłada. Bo nowy świat to świat wiecznych zakładów. Oraz rzęsistych opadów. Cały czas leje, więc ludzie grają w karty. W Kościele. Kościoły nie służą już do modlitwy. Tylko do gry. Rozrywki. I czarnej sekty. I ludzie się zabawiają. W kościołach się zatracają. W grze. W zakładach. Kościach. I zwadach. Kto oszukuje, a kto ze szczęściem spółkuje. Kto drugiego kabluje, a kto z trzecim się rachuje. I się przeciągają. I krzyżąc dobrze się mają. Ludzie klauni. Nie śmieszni. Marni. Ludzie łodygi. Pościanane. Zdezelowane. Zakłady. Bukmacherskie. Karty. Kolekcjonerskie. Wszystko na pieniądze. Wszystko na rządze. Dla zrządzeń. Losu i patosu. Dla podsumowania. I awansowania na głównego drania. Ktoś wpadł w wir zabawy. Gry i przegrywania. Złości i podniecenia. Ciągłego się skradania. Ale wielki słoń w garniturze, powiedział, Pan tu nie pasuje. To elegancki kościół. Pan tu tylko powietrze psuje. My tu gramy na poważnie. A Pan z drobniakami. Proszę grać gdzie indziej. Z takimi jak Pan. Przeciętnikami. I wyszedłem i szukałem. W deszczu. Cały się potem złałem. W deszczu. Sam siebie oszukiwałem. W słońcu. Do którego się zbliżałem. Wypytywałem. O przeciętników. Ale nikt ich nie znał. Ani znaków. Jak trafić. I gdzie spotkać można. Miejsca, gdzie gra będzie swobodna. Przeciętники nie pracują. Przeciętники się w tym świecie nie znajdują. Wyginęli. Sami siebie przegrali. I bez niczego, z głodu powymierali. Tak mów gęś w garsonce. Tak myśli. Słowik w spodniach inspirowanych paskami na stonce. I świat założył się o Ktosia. Że zwątpi. I się kimś lepszym zastąpi. Ktoś jednak wrócił do kościoła. Bo stwierdził że to modlitwy pora. Nie zwątpił. Tylko modlił się do krzyża. Pośród automatów do gry. I stolika do brydża. Miał to gdzieś. Liczyła się tylko modlitwa. Old schoolowiec. Stara szkoła. Zawodowiec. Mówią gracze i ukradkiem szukają znaczeń. Zastanawiają się co się stanie. A Ktoś znikł. Jak na zawołanie. Wrócił do świata żywych. Wrócił i już został. Ocucony. Odmłodzony. Jakby chudszy. Rozochocony. Łapie tlen. Tak to jest moment ten. Łapie siebie. Tak, jesteś warty, a ile, to nie wiem. I złapał. Marysie i pyta, zatańczymy. Marysia odpowiada, nie teraz. A kiedy. Zobaczymy. I idą spać. Ktoś zawiedziony. Bo jakoś pozytywnie do życia nastawiony. Nie przez świat który zobaczył. Ale poczuł. Że zbliża się do Boga. W kościach to odczuł. Pomodlił się. Zapytał Marysię, czy się przyłączy. Marysia zadowolona, tak, powiedziała. Lekko wystraszona. Ale odmawiają kolejne słowa modlitwy. Ale się zbliżają. I ze snem bitwy. Modlitwę skończyli i się położyli. Ale coś jakby nad Ktosiem czuwało. Jakby modlitwy było mu mało. Więc modlił się w myślach. Na leżąco. I modląc się, zasnął. Widać, modlitwie było śpiąco.

Prośba Ktosia:

Nie chce się zakładać
Wolę ręce składać

Nie chce się przedłużać
Wolę ręce grzać

Przy koksowniku na miłość
Przy koksowniku na śmiech

Cieszysz się, a niewierny,
Powtarza tylko, eh

Zima zabiera wiosnę do kina

Ktoś zbliżał się do Boga. Ale uzależnienie pozostawało. Wciąż tonął w nałogach. W peyotlu. W dodatkach. I kolejnych w książkach zakładkach. I się wydawało, że nigdy z tego nie wyjdzie. A kto wie. Może kiedyś zmieni się. Ale dziś nie. Dziś znowu dzieje się. Ma gorszy dzień. Po peyotlu ma humory. Alienuje się. Nie chce zaśpiewać wam. Nie opowie wam też wiersza. Nie sprawdzi wody, która gorętsza. Nie używa ręcznika. I idzie. A później się kładzie. I milczy. I ciągle na tej samej zasadzie. Wsłuchuje się w oddech. Czeka aż stanie. Nie staje. Takie to ciągłe powtarzanie. Nudzące, nurzące. W błąd człowieka wprowadzające. Niby, że wieczne. A wieczne nie jest. Niby niesprzeczne. A sprzeczny gest. Wydurnia się. A sprzeczna sława. Oporna jak Mława. Bo rodzi się. I do umierania nie spieszy się. A umiera kawałek po kawałeczku. A się rozbiera. I słucha. Rzeczkę. Drogi Rzeczkę. Ile masz dla nas sławy. A ile zabawy. Ile Ci się wydaje, a ile faktem się staje. Rozstrojeni. Ujednoliceni. Myślimy, że potrafimy. A tak naprawdę jesteśmy jak snopek w sieni. Po co, i dlaczego. Co się dzieje, niebo. I spotkanie. Nieba powitanie. I się stawanie. Z niebem rozstawanie. Powroty i przyloty. Odloty i odejścia. To nie jest tak, że nie potrzebujesz na drugą stronę przejścia. Wpław nie przepłyniesz. Wpław nie dasz rady. Posłuchaj starszego rady. I nie szukaj na siłę zwady. Ze światem. Jak Ktoś, którego nazywają pozytywnym wariatem. Nie wiem, czy jest coś takiego. Nie rozumiem. Może nie ma w tym nic złego. Ale czy umiem. Czy się spodziewam i po co. Ale czy się zastanawiam. Dlaczego ściemnia się nocą. Słowa. Ktoś przemyca. W paczkach wysyła. Kotwica. By się zmieściła, ale nie musi. Kotwicę na sznurku wciąż suszy. Ten. I tamten. Sąsiad. I brat. Kto kogo widzi. A kto jest chwata. Ktoś się przekręca. Na drugą stronę przypiekania. Ogniem opanowania. I wodą się stawania. Ale to trwa. To powolny jest schemat. Nie wiadomo dlaczego. Ale taki jest świat. Trzeba czekać. Zmieniać się. Nie zwlekać. Ale czasem na zmianę trzeba poczekać. Dojrzeć. Duchowo. Dostrzec. Coś wzrokiem na nowo. I spojrzeć w oczy zła. I powiedzieć. Nie wasza jest chwila twa. Tylko moja. Chwila wolności. Moja. Chwila płodności. Rodzę. Samego siebie. Powodzeń. Jest wiele i nie wiem. Kiedy będzie ostatnie. I najbardziej wydane. Kiedy się ustabilizuje. Kiedy. Lepiej się poczuje. I czekam. I się zmieniam. Ktoś. Który nie ma dość. Dziś peyotla zamienił na spowiedź. Dziś zrobił kolejny wielki krok. Jest gość. Jest ktoś. Ktoś poczuł, że prawdziwego życia nie ma dość. I zadowolony. Pewny swego. Siedzi wieczorem. Dnia pamiętnego. I znów. Spełniło się przepowiadanie z początku dnia. Że zło nie odpuści. Że jeszcze korzeń ma. I wyspowiadany. Z Bogiem w Hostii pojednany. Znów bierze peyotl. Kawałeczek. Zwłok. Świat zwłok. Nikogo żywego. Tylko kruki i zwłoki. Całe ich potoki. Chodzi Ktoś po zwłokach i zastanawia się. Ile jeszcze. Kroków i kolejnych zwłok. Ile jeszcze razy. Nie będzie bez skazy. Oni wszyscy chcieli. I czegoś się dowiedzieli. Jak jest na tamtym świecie. Wy jeszcze nie wiecie. Ktoś wie. A przynajmniej domyśla się. Zwłoki nie mówią. Z ciszy wciąż wróżą. I wyróżyły. I Ktosiovi oznajmiły. Przestań. Zwolnij. Bo każda z tych zwłok to Ty. My to z przyszłości Ty. Ktoś się wpatruje. Zwłokom przypatruje. I faktycznie. Każde ciało to on. Zabity. Wykończony. Każdy trup to on. Nie ważne, że bez żony. Ważne, że bez życia. Gdzie życie uleciało. Może życiu się nie podobało. Że tak długo w miejscu stało. A trzeba biec. A trzeba żyć. A nie udawać. I z peyotlem śnić. Wybudził się. Marysia płakała. Już myślała, że ze złem wygrała. A Ktoś znowu upadł. Znowu dał się złapać. A Ktoś znowu przegrał. Na ser dał się tapce złapać.

Prośba Ktosia:

Nie chce rozmawiać
Z moimi zwłokami

Nie chce zastaniać się
Moimi portretami

Nie jestem najważniejszy
Nie jestem najpiękniejszy

Mojej duszy sporo brakuje
Ale nad tym jeszcze pracuje

Zima kuleje i człowieka zawieje

Ktoś miał wyrzuty sumienia. A to wiele w człowieku zmienia. Niby wiesz. A źle. Stało się. Powtórzyło. I na nowo zrobiło. Najgorsze się spełniło. Bo na zakręcie nie wyrobiło. Ktoś powiedział. Ktoś usłyszał. A dlaczego. Nie potrafisz niczego. Ktoś tak pyta. Ty odpowiadasz. Albo ręce do modlitwy składasz. O siłę. I działasz. I o siłę Ktoś poprosił. Spełniło się. Kolejne łaski wyprosił. I przegonił peyotl. Przynajmniej tak mu się wydawało. Zaparł się w sobie. I tak to się stało. Jeden. Drugi. Trzeci dzień. Bez peyotla. Czysty sen. Czwarty, piąty, siódmy i... sam już nie wie, co mu się śni. Przyśnił mu się siódmego dnia. Sen co nieznaną puentę ma. Ktoś opowiadał wiersz. Długi. Cały bezkres. Wiersz rzeka. Co nie narzeka. Najpiękniejszy wiersz świata. Co cały brud zamiata. I nagle się budzi. Ma w ustach posmak tego wiersza. Studzi. Sam siebie. Sam świat. Jakby był na świata pogrzebie. Wiersz ulatuje. I różnice niweluje. Zbyt piękny, żeby mógł być powtórzony. Zbyt wspaniały, żeby mógł być odtworzony. Jak wiatru powiew. Powstaje i znika. Jak jutrzienka. Co jest, nie zanika. I wraca co rano. I powtarza się sama. Nawet gdy robi się parno. Życie to test. I wie o tym Ktoś. I zaparł się w sobie. Test ten chce zdać. A nie tłumaczyć się z niezgrania powiek. Wszystko musi grać. I tańczyć bez uzależnienia. W wolności. Powód jest do ocalenia. W miłości. Chęć jest do siebie stworzenia. Marysia była zachwycona. Drugi tydzień bez samogona. Bez peyotla. I bez strachu. Mija szybko. Gdy auto nie jest na dachu. I jedzie. I się dzieje. I tworzy. I ktoś się pyta. Podkomorzy. I ktoś odpowiada. Niespiesznie. Ale dlaczego, tak pociesznie. Ktoś już się przyzwyczaił. Do braku używek. Na prawo i lewo się chwalił. Że to już po. Że ma to z głowy. Pełen życia. Na wyzwania gotowy. Ludzie chwalili. Ludzie podziwiali. Jaki silny. Albo się z niego śmiali. Różnie. Nie ważne. Liczy się tylko to, że Ktoś zrozumiał, że może omijać zło. Że nie musi się w nie pakować. Że nie musi uderzać z rozpędu. Że są inne rzeczy na świecie. Zdecydowanie. Innego rzędu. Ważniejsze. Donioślejsze. Piękniejsze. I większe. I do tego innego świata zapukał Ktoś. I mu otworzono. I tego świata nie miał dość. Wystarczający. Nie potrzebował większych emocji. Oddychający. Nie zmuszał nikogo do dodatkowych opcji. Ani nikt nie zmuszał go. Ktosia, co poznał co jest co. I się cieszył. Razem z Marysią. I swoje przeżył. Zrozumiał. Się przysiadł. Do

stolika gdzie jedno z drugiego wynika. Do mościpana, co miły jest nie tylko z rana. I nie udaje. Bo nie musi. I nie sprzedaje, choć czasem go kusi. Nie ma idealnego świata. Ale jest człowiek, który nie ma już nic z wariata. Można. Potrzeba. Każdemu człowiekowi boskiego chleba. I tak się składa. I czasem wypada. I można. Pobożna. Swoje atrybuty wykłada. I z nikim się nie zakłada. Ale trwa. W trzeźwości. Historia miła. W czystości, która się nie zwija. Tydzień po tygodniu. O dobro się rozbija. Fala co nie potrzebuje kija. Fala co jest zdradliwa. I chciwa. I chciwa. I chciwa.

Prośba Ktosia:

Utrzymaj mnie
Na horyzoncie

Uwolnij mnie
Po to mam pracę

Po to mam nogę
I obie ręce

Po to mam Ciebie
I nie chcę nic więcej

Zima sprawia że wieje

Po kilku tygodniach. Nawet spokojnych. Przyszedł ten dzień. Trzynastego. Który się upomniał o słabości jego. Który chciał pokazać, jak wiele jest w stanie. Który chciał udowodnić, że niewykonalne to zadanie. Trzymanie się z dala. Od peyotla. I fala. Wezbrała. Fala się żwawo miała. I leciała. I kolejne myśli zabierała. I w sobie chowała. Te dobre. Złe jako szlam zostawiała. I załała całego Ktosia. I przekonała. Że może odegrać łosia. I spróbować troszeczkę. Peyotla. Jak to było. Nałożyć maseczkę. Ale jeszcze się łamie. Coś mu mówi, nie próbuj. Swoje już spróbowałeś. I nauczkę srogą dostałeś. A teraz jesteś wolny. Po co to psuć. Marnować. Lepiej się w dobrym chować. Niż krzyczyć w złości. Niż tonąć w gnuśności. Słabość ciągnie człowieka na dno. Dla słabości ważne jest to. Czy pomożesz samemu sobie. Słabość ciągnie ku niezgodzie. Abyś był z sobą pokłócony. I wewnętrznie zniewolony. I tak Cię chwyta. I trzyma. Z kopyta. Rusza. Słabość i do uległości zmusza. Ktoś dzień spędził normalnie. Chociaż targaty nim emocje skrajne. Ale wieczorem poległ całkowicie. Wziął. Spróbował. I nie był w zachwycie. Po odrobinie, dołożył jeszcze sporo. Stwierdził, że jeden raz. Wieczorową porą. Ale jutro to już nie. I pojutrze też jest źle. Tylko dziś. Tej jeden raz. Jest na peyotl, odpowiedni czas. I zażył. I spróbował. I w samym sobie się schował. A później odleciał. I dobrą godzinę leciał. I później się zmarszczył. I z rzeczywistości kpił. Wielbiąc nowy świat. Nowopoznany. Nie bez wad. Był to świat ogórków szklarniowych. Co słońce przez szkło tylko znaty. Bezpośrednio, żadnego promienia słonecznego nigdy na sobie nie poznały. Nie dotknął ich. Podlewane mechanicznie.

Ziemia spreparowana. Takie życie śliczne. I Ktoś był jednym z takich milczących ogórków. Patrzył tylko na słońce. I marzył. By lato było gorące. Nie wiedział, że można na świeżym powietrzu. Nie wiedział, że można pić wodę źródlaną. A nie byle jaką z kranu nalewaną. Do wiadra i z wiadra w szklarnię wszystko. Ogórek był już życia swego blisko. Końca. Z nadmiaru temperatury i przez szybę widzianego słońca. Co go uprzedmiatawia. Co słońce w złym świetle stawia. Niby go widzisz. Ale nie znasz. Nie czujesz i psujesz. To co mogłoby być proste. Połączenie. Szczęśliwe. Nie żałosne. I przyszedł rolnik pewnego dnia. I zerwał ogórki. Koniec się da. I był wśród nich także i Ktoś. Myśl przeszła mu przez głowę. Godnie to znoś. I zniósł. Godnie zrywanie i krojenie. I jako sałatka na stole się pojawienie. Chwile przed zjedzeniem coś dziwnego stało się. Pstryk i wrócił do rzeczywistości. Czy to naprawdę działo się. Jak historia ta ma morał. Co ten świat mi mówi. Albo o co pyta. Sam może przemówi. Sam wiem i się staram. Ważna jest wiara. Ważna jest wolność. Zniewolenie wierzyć nie pozwala. Zniewolenie to największa możliwa kara. Żałuje, że wróciłem. Żałuje, że peyotl zażyłem. Nigdy więcej. Nie mogę. Muszę być sobą. Czym prędzej. Obudził Marysię. Aby wspólnie się pomodlić. Obudzona. Nie wiedziała. Ile straciła. I że tego nie chciała. Ale się stało. Ale się nie bało. I stare demony z powrotem przywiało. I starym demonom się wstać nagle zachciało. Modlitwą odgonione. Modlitwą pokropione. Ciało ciałem. Dusza duszą. Nie chwiejmy się. To demony chwiać się muszą.

Prośba Ktosia:

Błagam Cię
Chce poczuć promień miłości

Błagam Cię
Chce poczuć promień boskości

Jedna jest chwała, ciągle za mała
Jedna jest melodia, ciągle zawodna

Kochaj i rób co chcesz
Resztę zrozumiesz kiedy tylko chcesz

Zima o sobie przypomina

Kolejny dzień. To wyrzuty sumienia. Że się wczoraj złamałem. Że peyotl nie daje wytchnienia. Że było już tak dobrze. Tych tygodni kilka. A teraz od nowa. I kolejnych złudzeń chwilka. Rośnie i buzuje. Po pierwszym powrocie zło Cię jak strzelnicę traktuje. Ładuje bez opamiętania. Zło, to kawał drania. Ładuje z wielką siłą. Miało być, ale nie jest miło. Dzień spędził Ktoś z Marysią. Chciał zająć czymś głowę. Nie myśleć. To już sukcesu połowe. I starania nie były złe. Całkiem owocne. Ale jak długo można uciekać. A, Ę zamieniają się na słowa potoczne. A, Ę. Przez chwilę. Najwidoczniej. A później skrzywienie. A później słów cedzenie. Oszukiwanie samego siebie. I

chwilowe z sobą wygrywanie. W górę i w dół. Jak na sterydach wół. W prawo i w lewo. Uwaga tylko na drzewo. Ktoś wspierany. Marysią. Był przez Marysię doceniany. Za te kilkutygodniowe starania. Za walkę. A nie chęć się poddania. I swoje zrobiła. Pomogła. Nie uraziła. I swoje oddała. Marzenia. Jak skała. Aż przyszedł wieczór. I zmienia się wszystko. Niby walka. A to już przegranej palenisko. Parzy i dusi dymem konkretnie. Nie daje spać. W lustrze Ktoś wygląda szpetnie. Oczy podkrążone, mętne spojrzenie. Do czego to prowadzi. Czy byciem można nazwać chcenie. I Ktoś się załamuje. I Ktoś rezygnuje. Łapie za peyotl i znowu ucztuje. Znowu leci i w nowy świat się przenosi. Znowu. O przebaczenie w myślach Boga prosi. Ale bierze i leci czym dalej. Czym prędzej. Weź mi czegoś nalej. Prosi Marysię i zsuwa się na podłogę. Leci. Na Marysi trwogę. Jest w świecie marzeń. Jest jednym marzeniem. I się spełnia. Tworzy. I chce zostać istnieniem. Ale nie może. Nie daje rady. Jako marzenie osadzony, szuka z umysłem zwady. Przekonuje do realizacji, używa najróżniejszej narracji. Nic nie pomaga. Wysiada na następnej stacji. Tak sobie powtarza. Ale sen się pomnaża. W wetrze tłok. Przesuwa się trochę w bok. Przytula ciało do szyby. O nią się opiera. Inne naciskają. Wiara, oraz nadzieja. I nie wytrzymuje. Puszczą. Wyskakuje. Przez szybę. Ktoś go pyta, czy dobrze się już czuje. Nie odpowiada. Głowę na małe kawałki składa. Marzenie. Co się z innymi nie zakłada. Tylko marzy o spełnieniu. Warzy o wytrwałości i istnieniu. Kto powie. Kto udowodni. Że lepszy jest sposób myślenia wschodni. I płynie. Chodnikiem. Mija się z innymi marzeniami. I tworzy. Nadzieję. Teraz będą chodzić dwójkami. Problem tylko polega na tym. Że nikt się nie zgadza z nim. Ktosiem, co wiatr hula. I rodzi się ciągle na nowo w bólach. Jest jak jest. I być przestaje. Marzenie umiera z pragnienia i chcenia. Na chodniku zapomniane. Na chodniku, tak niechciane. Co to za marzenia. Co się nie rozprzestrzenia. Co to za marzenia, które nie ma własnego cienia. Ale i człowieka. Umysłu otwartego. Porzucone marzenie. To nie jest nic dobrego. I budzi się z narkotycznego snu. I podnosi się ile ma tchu. Wypowiada imię Marysi. I kładzie się, koło niej. To nie jest żaden wyścig. Kładzie się i zasypia. Modląc się do Boga. Prosząc, aby dał mu siłę. Bo kolejnych porażek szkoda. Nic nie dadzą. Nic nie pomogą. Wyjdę z tego nałogu. Jeśli inni mogą. Mogę i ja. Wyjdę. Zrobię co się da. Powietrza. I wody. Nic więcej. I nikt nie robi mi szkody.

Prośba Ktosia:

Nie pozwól mi zostać
Niespełnionym marzeniem

Nie pozwól mi stać
Kiedy inni cieszą się istnieniem

Jest jedno życie
Jest jedna chwila

I radość
Która tą chwilę umiła

I wiosna która ze sobą życie przyniosła

Kolejny dzień. I kolejne wyrzuty sumienia. Tym razem jednak pragnące zakończenia. Bardziej niż wczoraj. Zdeterminowane. Zdanie. Które chce być usłyszane. Tym razem nowa Ktosia twarz. Promienieje. Co chciałeś chłopie, masz. Jest jakiś spokojny. Od modlitwy strojny. Wykwintny. Doskonale podany. Dobry. I z dobroci znany. Jak inni, a nawet więcej. Niewinny. Mów, proszę, prędeż. A nie na uboczu. Wyalienowany. Trzymaj się ludzi. I bądź przez ludzi poznany. Nie chowaj samego siebie. Nie ukrywaj się za maskami. Tak jak Ktoś. Co zawiesza firany. Nie po to, żeby się oddzielić. Ale żeby tradycję utrzymać. Być. A nie na nowo się napocząć. Marysia była spokojna. Zrozumiała, że już się nie zmieni. Że co złe, odeszło. Jak do lasu stado jeleni. Znikło. I nie wróci już nigdy. Peyotl skończył w toalecie. Taki jego koniec przykry. Nikogo już nie nabierze. Nie narobi więcej szkody. Skończył się jego czas. Skończyły się jego zawody. Nie ma peyotla, nie ma alkoholu. Została miłość. I pewna doza dobrego humoru. Zostały rozmowy radosne z Marysią. Dokazywanie o którym nie jedni piszą. Siebie poznawanie i zrozumienie. I ciągle na nowo siebie znalezienie. Bo na tym polega szczęście. Na wolności i spokoju. Nie ma jednego bez drugiego. Nie potrzebują dodatkowego tworu. Nie potrzeba im poklasku i dzieciaków wrzasku. Nic dodatkowego. Nic no nowo poznanego. Stare dwie nogi. Na których trzyma się świat. Ten prawdziwy, a nie ten lękliwy. Ten sprzed lat. A nie ten nowy konglomerat. I stary wybrał Ktoś. Nie powiedział do nowego, weź mnie noś. Zrezygnował z luksusów. Zrezygnował z poklasku. Zostało ciężkie życie. Praca. I brak hałasu. Zostało zwykłe dopracowywanie dnia do perfekcji. Szlifowanie i nadziewanie na kołek. Bez pretensji. Ktoś wytrzymał. W mądrości swojej. Ciężar odstawienia utrzymał. Bez pomocy mojej. I trzyma go dzielnie i jest zachwycony. Że nie musi już wystuchiwać płaczu swojej żony. Jest spokojniejszy. W końcu lepiej śpi. Jest poważniejszy. Z życia już nie kpi. Tylko pracuje. A nie próżnuje. Tylko się cieszy. A nie dalej grzeszy. Proste życie. I życia przeżycie. Proste radości. A nie ciągle w jedzeniu ości. I jest. Kolejna wyciągnięta. Ostatnia. Przekłęta. Ktoś. Tyle się nacierpiał, namęczył. Ktoś. Czekał, aż ktoś go wyręczy. Już nie czeka. Sam sobie pomógł. Już nie próbuje. Ma parę własnych nóg. Wszystko się udało. Życie zacząć się zechciało. I się zaczęło. I niczego złego nie tknęło. I jest. Ktoś. A nie wygłodniały pies. I jest. Jego żona. Tylko taka wymarzona. Bo Ktoś żony tak naprawdę brak. Nie ma. Żony. I nie chodzi wspak. A kim jest Marysia dobrze sam wiesz. Marysia ratowała Ktosia, w poprzek i wszerek. Nie raz i nie dwa. Modliła się z nim. Co to da. Już wiemy. Że dało. I że się udało. Z pomocą Marysi. Bez ciała. Nie wyśnił. Marysia pojawia się to tu, to tam. I ja. Marysie odrobinę znam. Dobrze się z nią modli. Dobrze się z nią śmieje. Ktoś. On już wie, co się na tym świecie dzieje. Teraz chwali Pana. Czysty w nocy i z rana. Teraz wie co ważne. I kolejne decyzje odważne. Tylko kto jest kim. Ktoś nie jest nikim. Ktoś odnalazł kierunek. Każdy może. Dla każdego to poczęstunek.

Prośba Ktosia:

Pozwól Panie
Abym wytrzymał

Wspomóż

Abym zła się nie imał

Jedno jest przesłanie
Jedno królowanie

Jedno jest pytanie
A ja znam odpowiedź na nie

Wiosna przychodzi. Zawsze. Nie zawodzi.
Zima znika. I nikt mądry za nią nie tęskni. U głupiego panika.
Ciesz się wiosną. I swoim życiem.
Ciesz się chwilą. Kolejnym przeżyciem.
Nie ma bowiem tak. Że Bóg Ciebie skreślił.
Pomimo swoich wad. Pozostajesz rześki.
Oderwij się od zła. Po to jest wiosna.
Patrz co ona ma. To nagroda radosna.



Spis obrazów:

Grafika ze strony tytułowej: Grafika Marcina z Frysztaka, Kamienne serce 5.

Wiersz ze wstępu. Marcin z Frysztaka, Bęc.

Obraz końcowy: Marcin z Frysztaka, [i](#).



Marcin z Frysztaka

ur. 2 grudnia 1986 – obecnie

Marcin z Frysztaka oprowadza pielgrzymów po Niebie. Tylko od Ciebie zależy, czy zagościsz tam na stałe. Autor trzech 14-częściowych cykli. Trzeci nosi tytuł „Niekończąca się bezsenność”. Książki Marcina można przeczytać za darmo w internecie. Są dostępne na stronie internetowej: wilusz.org

Trzeci cykl to dziesięć opowiadań. Witamy się „Prąd w każdym z nas” a żegnamy „Jak orzech się do orzecha uśmiecha”. Są też trzy tomiki wierszy: „ZwierzoSzyki”, „Na ringu”, oraz „Kolejne uniesienia duszy”. Cykl inspirowany snami. Idealny na bezsenne noce.

Kontakt z Marcinem z Frysztaka:
szulif@gmail.com

Szanowny Wydawco,

Jeśli masz chęć wydać „Taniec” w wersji papierowej – drukuj śmiało!

Jako autor zachęcam do powielania, kopiowania i wydawania „Tańca” na wszystkie możliwe sposoby.

Proszę tylko o zachowanie zgodności z oryginałem.

„Taniec” każdy może wydrukować i rozpowszechnić – dzieląc się wolnością.

Nie oczekuje wynagrodzenia, czy procentów od sprzedanych egzemplarzy. Będę się cieszył jeśli część zysków, które uzyskasz ze sprzedaży „Tańca”, przekażesz na cele charytatywne.

Nie potrzebujesz dodatkowych zgód, pozwoleń, czy umów.

Chcesz wydać „Taniec”? To do dzieła!

Marcin S. Wilke

Przyjaciele,

Niezwykle istotnym jest, aby „Taniec” był w całości dostępny za darmo w internecie. Kopiujcie go z jednego serwisu z ebookami na kolejne. Ułatwiajcie dostęp do „Tańca”. Udostępniajcie go bez pobierania opłat. Niech zyska nowe, elektroniczne życie. Niech karmi otwarte umysły tych, którzy porzucili papierowe wydania na rzecz cyfrowego świata.

Marcin S. Wilke